Nr. 15—16 We Lwowie, 1 sierpnia 1933 Rok 55



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO
WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Ponieważ numer ten wydajemy podwójny, następny ukaże się dnia 1-go września b. r.

WITOŁD ZIEMBICKI

S O B I E S C I A N A

Przyczynki do pracy: „Jan Sobieski jako myśliwy"[1]

Tradycje rodzinne. — Młodość. — Pobyt zagranicą. — Zwierzyńce i curiosa obcych krajów. — Głosy historyków i pamiętnikarzy. — U schyłku życia.

Praca moja z roku 1926 dzieliła się na trzy następujące części: I. Wstęp, II. Myślistwo Sobieskiego w tradycji i w piśmiennictwie, III. Myślistwo w listach Sobieskiego.

Nie wyczerpywała ona materjału. Zbierałem go więc w dalszym ciągu, a nagromadzone „Przyczynki" podaję obecnie, dorzucając temsamem także i na łamach „Łowca" jedną kartę wspomnień o wielkim królu, którego pamięć tak powszechnie czcimy w tym roku z okazji 250-lecia zwycięstwa pod Wiedniem.

[1]) Ziembicki W., Jan Sobieski jako myśliwy. Rzecz, wygłoszona na uroczystej akademji w czasie obchodu 50-letniego jubileuszu Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we Lwowie, dnia 16 czerwca 1926 r. Drukowana w „Łowcu" 1926, str. 118—125. Także w osobnej odbitce, z dodatkiem spisu miejscowości, mających związek z myślistwem Sobieskiego. Dedykowano Stanisławowi Zaborowskiemu.

TRADYCJE RODZINNE JANA SOBIESKIEGO

Każdy szlachcic lubował się w przypominaniu znakomitych czynów, które mu przekazała tradycja o przodkach. Znakomitych czynów orężnych, a więc dokonanych na polu bitwy przedewszystkiem. Ale do tych czynów orężnych należało także zmaganie się ze srogim zwierzem w zabawie myśliwskiej, tak pokrewnej rzemiosłu rycerskiemu i, równie jak ono, nieraz niebezpiecznej dla życia. Przecie Ostroróg, w dziele swem: „Myślistwo z ogary",[2]) przypominając królewiczowi Władysławowi, że się urodził „w wolnym, a myśliwym narodzie", mówi z całą powagą: „A nie trzeba tego mieć za lada co: zawżdy ta uczciwa zabawka między rycerskie zabawki, zawżdy za jakieś wyobrażenie wojny poczytana była. Si-

[2]) Ostroróg Jan, Myślistwo z ogary, — w dedykacji, umieszczonej na wstępie.

ła wielkich monarchów myśliwych było, i teraz, niewiem, po wszystkim świecie żeby który monarcha był bez pewnych i ugruntowanych łowów. A zgoła ja tego za człowieka nie mam, kto o tym ladajako rozumie, chyba kto servilis, jako kupiec, abo lichwiarz, abo człowiek podły, który się bez żyły szlacheckiej urodził. Nawet jeśli żaden naród nie był tak szczęśliwy, żeby kiedy wojny nań nie przychodziły, powinien się w tej zabawce kochać, która czasu pokoju ludzie wojenne w pracach do wojny należących zatrzymywa i zachowywa i zalegać się im nie da... Ta tedy smaczna praca sama jedna jest, co czasu pokoju zachowywa rycerskiego człowieka w sposobności do wojny".

To, co tradycja rodzinna przekazała Janowi Sobieskiemu pod względem rycerskim, było chlubą całego narodu. Wystarczy wspomnieć jego pradziada: hetmana Żółkiewskiego, dziada: Jana Żółkiewskiego, wuja: Stanisława Daniłłowicza. Ale był w tej rodzinie ktoś, co i jako rycerz i jako myśliwy przeszedł do historji. Był to dziad Jana III, Marek Sobieski. Czyny jego były czemś, nawet na owe czasy niepośledniem. O nim to mawiał Stefan Batory: „Gdyby całego królestwa fortuna od jednego harcu, czy pojedynku zawisła, nikomubym bezpieczniej w tym razie nie dufał, nad Marka Sobieskiego".[3]) Istotnie dziwy opowiadano o jego straszliwej sile i fenomenalnej zręczności. O sile tej świadczy np. następujący wypadek. Gdy w roku 1576, wraz z chorągwią swoją, stawił się Marek Sobieski przeciw rebelizantom gdańskim, zdarzyło mu się, że wpadł w Wisłę w pełnej zbroi. Było to pod Tczewem. I oto, na oczach całego wojska, choć ranny i w zbroi, rzekę, potężnie już tam szeroką, przepłynął.

On to był bohaterem słynnej przygody myśliwskiej Batorego. Razu pewnego, na polowaniu, na Litwie, niedźwiedź wpadł na króla. Marek Sobieski stał tuż. Skoczył tedy, przywołał dwóch swoich pokojowych i, nie mając w ręku nic prócz szabli, niedźwiedzia zaatakował i ubił.[4])

Nieco odmienną wersję tejże przygody podaje sam Jan III, w zachowanym własnoręcznym rękopisie.[5]) Czytamy tam:

„Na łowach też litewskich trafiło się, że niedźwiedź srogiej wielkości wypadł na króla Stefana. Zawołał tedy Marek Sobieski na spół-dworzanina, a wielkiego swego przyjaciela, Allemaniego Włocha[6]) (a dziada z matki nieboszczyka Połubińskiego, marszałka litewskiego),[7]) aby, nie zażywając innej broni, tylko ów szpady, a on szabli, tę tak okrutną w oczach królewskich zabili bestyję".

[3]) Niesiecki, Herbarz w wyd. Bobrowskiego, t. VIII, str. 429—431.

[4]) Niesiecki, tamże.

[5]) Kluczycki Fr., Pisma do wieku i spraw Jana Sobieskiego, Kraków 1880—1881, t. I, str. 2.

[6]) Alemanni, zapewne Dominik, który posłował od króla Stefana do Jana, króla szwedzkiego. Był on pierwszym, który z tej rodziny przybył do Polski (z Florencji). Niesiecki, j. w. t. II, str. 22.

[7]) Połubiński Aleksander, marszałek wielki litewski, urodzony był z Alemannianki, córki Dominika. Niesiecki, t. I, 340 i t. VII, 367.

Obie wersje, nieco odmienne w tem, kto Marka wspomógł, zgodne są pod jednym względem: że poszedł on na niedźwiedzia z szablą w ręku. Nielada to więc była szabla i nielada ramię, które nią władało!

MŁODOŚĆ, NAUKI, POBYT ZAGRANICĄ

Lata dziecinne spędził Jan Sobieski, wraz ze starszym swym bratem, Markiem, w domu rodzicielskim, w Żółkwi. Ojciec ich, Jakób, dbały o należyte wychowanie potomstwa, zaprawiał chłopców wcześnie do przyszłego zawodu rycerskiego, do jazdy konnej, strzelania z łuku, robienia szabelką, było też i myślistwo w programie, jak w każdym domu szlacheckim. Używanie „pola" z chartami, zapewne i „myślistwo z ogary", niewątpliwie i zabawa „z ptakiem", były to rozrywki, którym z pewnością poświęcano wiele uwagi. Gdy podrośli, — Jan miał wówczas lat 11, — wyprawił ich pan Jakób na dalsze nauki do Krakowa. Było to w roku 1640. Troskliwy rodzic napisał wtedy, ówczesnym zwyczajem, szczegółową „Instrukcję" dla towarzyszącego synom ochmistrza, Pawła Orchowskiego. Niema tam mowy o myślistwie. Bo ograniczało się ono w tym czasie — rzecz prosta — tylko do wakacyj. W cztery lata później nastąpił wyjazd młodych Sobieskich zagranicę. W lutym 1646 roku, orszak, złożony z siedmiu dobrze uzbrojonych jeźdźców, opuszczał Żółkiew. Towarzyszyli Markowi i Janowi w tej „peregrynacji" dwaj młodzi przyjaciele: Stefan Zamoyski i Krzysztof Skotnicki, dwaj ochmistrze czyli „gubernatorzy" (wspomniany wyżej Orchowski i Marjan Lisowski), dwóch dworzan i kucharz. Kierowano się przez Hamburg do Paryża. W Hamburgu sprzedano konie, przez Elbę przeprawiono się barką, dalszą drogę odbyto furmankami. Dokładny diarjusz tej podróży i pobytu za granicą, spisał jeden z uczestników, Sebastjan Gawarecki.[8]) A ponieważ do kraju rodzinnego powrócono dopiero w jesieni roku 1648, przeto w dzienniku tym wiele mieści się ciekawych wiadomości. O łowach w ścisłem znaczeniu oczywiście nie może w nim być mowy. Mimo tego znajdziemy tam niejeden zapisek, z tematem naszym się łączący. Skoro bowiem notowano wszystko, co godnem było uwagi, o krajach, ludziach i wypadkach, — to nie omieszkano wspomnieć tu-i ówdzie o przyrodzie, o zwierzętach, o zwierzyńcach i t. p. sprawach, które przecież, jako pokrewne łowiectwu, żywo młodych rycerzyków interesowały.

I tak zaraz pod datą 3 marca notuje Gawarecki, że gdy minęli Frankfurt nad Odrą, najechali „stado dzikich świń, jako że tymi polami, lasami, zwierz barzo gęsty". Tegoż dnia, pisze dalej, postrzeliłem kaczkę swojską z bandoletu i o to „hałasu małośmy nie zażyli wielkiego".

Pisząc o Oldenburgu, zanotował takie podanie:

„W tymże mieście Oldenburku powiadają o jednej historyjej, która się trafiła przed kilkądziesiąt lat, że graf

[8]) Gawarecki Sebastjan, Diarjusz podróży zagranicznej Marka i Jana Sobieskich. Poprawne wydanie z oryginalnego rękopisu: Kluczycki Fr., Pisma i t. d. (j. w.) t. I, str. 38—132. Tytuł oryginalny: „In Dei nomine. Laudetur Sanctissimum Sacramentum. Wyjazd z Żółkwie na peregrynacyją do cudzych krajów z Ichmościami PP. Sobieskimi, Wojewodzicami ruskimi, in Anno Domini 1646 21 lutego. Diarjusz drogi krótko opisany przez mnie, Sebastjana Gawareckiego".

miasta tego i państwa oldenburskiego,[9]) będąc na łowach, odbłąkał się od swych myśliwców sam i zajechawszy daleko w puszczę, nie mógł się wybłąkać natychmiast. Ukazała się mu jedna panna pięknej urody, mając jakoby trąbę rogową myśliwską, oprawną, w ręku. Do spragnionego zawołała, dając mu z źrzódła wody w tej trąbie. Przestraszony zdumiał się, coby to było, powtórzyła, rzekąc: Nie bój się, a napij się tej wody. Co iż tak uczynił, ta trąba została przy nim i to mu powiedziała, oddawszy tę trąbę, że państwo twoje zawsze w pokoju trwać będzie, jakoż po dziś dzień od okolicznych nieprzyjaciół przy pokoju zostaje. Potym ta panna zniknęła, a graf się wybłąkał z puszcze i tę trąbę z sobą przywiózł, którą za wielki skarb chowają, bardzo kosztowną i misterną robotą oprawną, do miasta przerzeczonego". W miejscu tem w rękopisie dopisał Jan Sobieski własnoręcznie następujące zdanie: „I niektórym cudzoziemcom ukazują, czego się i mnie dostało widzieć i pić z niej".

Po wyjeździe z Oldenburga posuwano się „pustyniami, kędy zwierząt pełno: jeleni, sarn, które się nic prawie nie boją ludzi jeżdżących". Tutaj zgubili psa, zwanego „Chłopiec". Zbłąkana psina, uchodząc przed goniącymi ją „żołdakami okolicznymi" skoczyła w jezioro i schroniła się na kępę, skąd ją zabrali, wysłani na poszukiwania, dworzanie Sobieskiego.

W Amsterdamie, w maju tegoż roku, zainteresował podróżnych „osobny rynek na psy wielkie i małe, koty morskie,[10]) ptaszki rozmaite".

W Brukseli oglądano ogród zoologiczny. „...z osobna, w inszym troche miescu, co umyślnie na to są zmurowane domki, ptastwa różnych narodów morskich, ziemskich, powietrznych, niemało godnych podziwienia. Potym stamtąd jest zwierzyniec, zowią to oni park, kędy danielów niemało jest. Drzewa swym porządkiem są sadzone różne, fontanny swym porządkiem barzo piekne, przechadzki i perspektywy barzo śliczne, kędy się, jako to na wiosnę i przez lato, przed wieczorem zjeżdżają, schadzają, damy i kawalerowie, tak wielkiej, jak i małej kondycyjej. Tam sobie wolno uciechy każdemu zażyć, jako to muzyki cichej, śpiewania, przechadzek et id genus".

W Paryżu podziwiają m. i. ogród, który się zowie la Tuleri (sic), barzo zacny i wielki. Tu w tym ogrodzie widzieliśmy lamparta żywego, który barzo wysoko do mięsa podskakiwał, kiedy mu kto chciał rzucić. Także widzieliśmy ptaka sępa i orłów dwóch w tymże ogrodzie."[11])

W kościele w St. Denis oglądano obok różnych skarbów „róg jednorożcowy,[12]) cały, na naszych łokci trzy i ćwierć długi". Co należy sądzić o tym rogu, wynika z dalszego szczegółu: oto podróżnym pokazano oryginalną „latarnię judaszową"...

W St. Germain[13]) był znów „ogród i fontanny barzo zacne, kędy Orfeusz grał na skrzypcach, a drzewa i zwierzęta rozmaite tancowali. Potym widzieliśmy zaś rozmaitego ptactwa morskiego i indyjskiego niemało, między inszemi też strusa. Barzo ptak wielki, niezwyczajny, jak półtora raza wyższy niżli chłop. I sępa, bobra też żywego. Zwierzyniec królewski na kilka mil obmurowany, w którym przechadzki zacne i jeleni dosyć."

„Milę od Paryża, pisze dalej, widzieliśmy pałac jeden, który jest, jako powiadają, wszystko forma pałacu króla hiszpańskiego w Madrytu i Madrytem zowią.[14]) Tu od tego pałacu jest też zwierzyniec na kilka mil obmurowany, kędy zażywają przejażdżek i uciech swych rozmaici ludzie."

Pod datą 13 października opisuje Gawarecki zwyczaj obchodzenia łowami „święta St. Germen (sic)". Łowy w owym właśnie zwierzyńcu w St. Germain zaczyna król,[15]) albo w jego zastępstwie książę Orleanu.[16]) Na łowy te „zjeżdżają się wiele zacnych paniąt, którzy są myśliwymi. Dopiero psów wysforują gończych myśliwcy na jelenia, którego sobie sami odłączą od stada i tak go już pilnują, to jest jego tropu, bez chartów, aż będzie jeleń zbytnio zmordowany, potym go zabijają". Sobiescy byli na tę zabawę zaproszeni. „Myśmy trochę niewcześnie przyjechali, zauważa Gawarecki, tylko samoczwart w kompanjej, wziąwszy z sobą JMP. Goreckiego, sekretarza naszego króla JMci [17]) i p. Gieca, żantiloma (sic) Xcia Jmci Radziwiłła,[18]) wierzchami, jako zwyczaj jest. I proszą tych wszystkich na wieczerzę, którzy tych początków łowów dopomagają, gwoli czemu, abyśmy się tylko przypatrzyć byli mogli, jeździli. Pieknie jednak bankietują."

---

[9]) Było to wówczas jeszcze hrabstwo. Do godności księstwa wyniesiono je dopiero z końcem XVIII. w.

[10]) Kot morski czyli kotik, jest to nazwa uszatki (otaria), w szczególności gatunku, poszukiwanego dla futra.

[11]) Tuileries, stara rezydencja francuska. Istniała tu od dawna menażerja, specjalnie, jeśli chodzi o lamparty, istniały one tu jeszcze za Henryka IV. Był tu m. i. gepard myśliwski, przywieziony Henrykowi IV z Włoch przez żonę, Marję Medici, w podarku ślubnym. Zob. L o i s e l Gustave, Histoire des ménageries, Paris, 1912, I, 277.

[12]) Jednoróg, (Monodon, Monoceros, Unicorne, Einhorn) zwierzę legendarne, o jednym rogu, wyrastającym z czoła. Dawano mu kształty, wyobrażające coś pomiędzy koniem, a jeleniem. Jeszcze nasz znakomity przyrodnik, J o n s t o n, w słynnem swem dziele zoologicznem z XVII wieku, podaje 6 rycin jednoroga. Pięć z nich ma znaczenie czysto fantastyczne, jedna tylko przypomina prawdziwe zwierzę, a mianowicie nosorożca, który nawet, być może, był — jako nieznany dokładnie — źródłem legendy.

[13]) Saint-Germain-en-Laye, rezydencja królewska z czasów odrodzenia, z pięknym zamkiem, parkiem i lasem. Tu urodził się Ludwik XIV. Do połowy XVII wieku utrzymywano tu piękną menażerję. L o i s e l, j. w., I, 272.

[14]) Franciszek I, lubujący się w utrzymywaniu przeróżnych zwierząt i w zakładaniu zwierzyńców, kazał w roku 1525 zbudować pod Paryżem pałac, zwany Madrytem, przy którym utworzono zwierzyniec myśliwski z terenu, należącego do Bois de Boulogne. L o i s e l, j. w., I, 270.

[15]) W czasie, kiedy Sobiescy bawili w Paryżu, panował już Ludwik XIV (1643—1715).

[16]) Stryj Ludwika XIV, książę Gaston Orleański.

[17]) Władysława IV.

[18]) Mowa tu o księciu Bogusławie Radziwille, który bawił wówczas przeważnie zagranicą. W roku 1645 przyłączył się był w Paryżu do poselstwa polskiego, przybyłego tu po narzeczoną Władysława IV, Ludwikę Marję. Wdał on się wtedy w słynną awanturę z hr. de Rieux i miał z nim mieć pojedynek, udaremniony trzy razy z rzędu w ciągu trzech lat (1645—1647) przez kardynała Mazariniego. Każdym razem Radziwiłł musiał opuszczać Francję i po trzykroć wracał, aby wyzwaniu zadość uczynić. Zob. K o t ł u b a j Edward, Galerja nieświeska, Wilno, str. 166—167. — Co do owego G i e c a, był to zapewne tensam br. von Goetz, z którym Bogusław Radziwiłł miał w roku następnym, 1647, pojedynek w Kliwji. Zob. K o t ł u b a j, j. w. str. 166. W czasie pobytu Sobieskich w Paryżu należał on widocznie do dworu Bogusława Radziwiłła, jakby ze słów Gawareckiego wynikało („Gentilhomme Xcia Radziwiłła").

We Francji zwiedzano m. i. miasteczko Richelieu, z pałacem kardynała, ogrodem i zwierzyńcem.[19]) Ten „jest na dwie mile wkoło obmurowany, przy wodach, błotach, w których się zwierz barzo sprawuje. Samych jeleni powiadają być w tym zwierzyńcu 600. Są też tu i krowy, niewiem jakiego rodzaju, że się udają takie zawsze: sama biała, nogi wszystkie czarne po kolana i ogona połowa, uszy czarne i pysk, a rogi niewielkie, ale się trafiają i w Włoszech takich siła".[20])

W mieście Rochelle,[21]) nad morzem, widzieli „rybę morską, którą pojmano na ten czas bytności naszej na refluksie morskim, na którą zgadzało się ich wielu, że to był lew morski, jakoż głową, gębą, wąsami, oczyma i zębami podobny onemu, w grubości swej od szyje w przodzie był na łokci 3 i na zdluż także. Miał 4 nogi krótkie, ku ogonowi cieńszy coraz, ogonek mały, palce u nóg z paznogciami wielkimi, a kiedy ich rozczepierzył, tedy jako u gęsi. Ciało na nim gołe, miescami szerścią się okrył. Kiedy mu się nadprzykrzano, tedy ryczał strasznie. Od widzenia płacono od osoby grs. 3, ale po odjeździe naszym, słyszeliśmy, prędko zdechł, bo go miano było prowadzić do Paryża".[22])

W opisie Montpellier zatrzymano się na aptekarzach: „Aptekarze sławni, kędy alkermesy[23]) robią barzo zacne i pożyteczne na wszelkie choroby ludzkie, także olejki, pudry, pomady, czego wszystkiego taniej i najlepszego dostanie. Widzieliśmy też u jednego aptykarza kabinet sławny, jakoż ma swoje zalecenie do widzenia, kędy tam różnych bestyj skór, jako to krokodylów, gadzin, jaszczurek i bazyliszka. Z ryb remorę,[24]) której niemasz większej jak na piądź, o której powiadają, że okręt na morzu zastanawia. Także też i salamandrę, która ustawicznie w ogniu tylko żyje.[25]) Z ptaków feniksów[26]) i inszych. Potym konchy rozmaite i galanteryje barzo piekne. Róg też jednorożcowy i turzy. Z ziół zaś jako u nas zowią pokrzyk, co najdują pod szubienicami, własne dzicię, albo człowiek wiszący, z głową i rękami i nogami.[27]) Także też i balsamowane dziecię w trumience króla indyjskiego przed kilkąset lat."

W sierpniu 1647 zrobiono wycieczkę do Fontainebleau. „Jechaliśmy, pisze kronikarz, lasem pieknym, alboli zwierzyńcem,[28]) dwie mile drogi. Tu jadąc, widzieliśmy jelenie, pasące się blisko drogi, które są niebarzo bojaźliwe. Przyjechawszy, stanęliśmy gospodą à la Corn (sic) de Cerf, gospoda wygodna. Do widzenia to miesce właśnie jest, dla rekreacyjej królewskiej, między puszczą, przy wodach". Po opisie pałacu, czytamy: „Potym dziedziniec, ogród, w którym fontanny barzo godne podziwienia, statuy kosztowne, sadzawki, drzewa rozmaite i zwierzyniec wielki, tak do zwierza, jakoteż i do ptactwa różnego. Tuśmy widzieli sępa ptaka. Co tylko do delicyj należy królewskich, to się wszystko znajduje, tak przejażdżki na wodach, przechadzki między ślicznemi drzewami, płotami wysokimi, jakoteż przejażdżki, a zwłaszcza w sadzawkach też ryb rozmaitych, na które patrząc wielka uciecha, a między wszystkimi w sadzawce jednej, kędy pstrągów jest sroga rzecz, wielkich jako karpie, którym, kto chce z nich mieć uciechę, tylko rzucać na wodę żaby, tedy nim doleci żaba do wody, pstrąg

[19]) Richelieu, miasto, stolica kantonu (Indre-et-Loire). Kardynał de Richelieu w czasie, w którym bawili tu Sobiescy, już nie żył od lat czterech. Zasługuje na zaznaczenie ciekawy szczegół, że o zwierzyńcu Richelieu nawet tak obszerne dzieło, jak wspomniana już, 3-tomowa „Histoire des ménageries", nie wspomina.

[20]) Opisane tu przez Gawareckiego „krowy", — to półdzikie bydło zwierzyńcowe, znane pod nazwą „Parkrind", po francusku „les boeufs sauvages". Pisze o niem Brehm (t. XIII, str. 348), podając też rycinę („Das englische Parkrind"). Rasa ta do dziś utrzymywana jest w Anglji w wielkopańskich rezerwatach. Dawne przypuszczenie, że bydło to pochodzi od tura, jest obecnie zarzucone. Ma to być raczej potomstwo bydła ze świętych gajów. Maść swoista otrzymana i utrzymana została przez ścisły dobór hodowlany i usuwanie każdej sztuki, inaczej umaszczonej. W angielskich źródłach znachodzimy o tem bydle wzmianki już od X wieku. Zasadnicza maść jest biała. Czarne są: kopyta, końce rogów, pysk, obwódka na oczach, rzęsy, górna część ucha, wymiona. Na podudziu czarne plamy, zlewające się w niektórych trzodach w cholewki czarne po kolana. Na bydło to odbywają się w Anglji polowania specjalne, z uroczystym ceremonjałem, jako zabytek dawnych wieków. Loiseul (j. w.) poświęca temu bydłu osobny ustęp pod tytułem: „Les boeufs sauvages et leurs reserves en Grande Bretagne" t. III, str. 59. Równie jak Brehm, wymienia obecnych tej rasy posiadaczy. Niema jednak wzmianki, że bydło to było kiedykolwiek utrzymywane we Francji. Pod tym względem diarjusz Gawareckiego znowu przynosi ciekawy przyczynek.

[21]) La Rochelle, nad Atlantykiem.

[22]) Lew morski, zapewne jeden z gatunków uszatki (Otariae). Jeden z nich posiada rodzaj grzywy, wszystkie odznaczają się ryczącym, donośnym nieraz głosem. Po francusku: Lion de mer, tak go zapewne na miejscu nazywano.

[23]) Alkermes, płyn pobudzający. Nazwa pochodzi od użytego w nim barwika, kermes, arabskie kirmis, którego dostarcza owad tej nazwy, podobny z tego względu do koszenili.

[24]) Remora, po polsku Trzymonaw (Echeneis remora). Posiada na głowie płaszczyznę krążkowatą, zapomocą której przyczepia się do różnych przedmiotów, a więc i do statków. Stąd nazwa („trzyma nawę") i zabobon, że cały statek może w ten sposób zatrzymać. Dlatego we francuskiem „remora" znaczy przenośnie przeszkodę, zaporę.

[25]) Znany przesąd.

[26]) Feniks, ptak bajeczny. Stąd „feniks" o osobie, rzadkiej w swoim rodzaju.

[27]) Mowa tu o roślinie, której od niepamiętnych czasów przypisywano przeróżne własności tajemne. Po polsku Pokrzyk, także Przestęp, jakkolwiek — ściśle biorąc — Pokrzyk oznacza w języku botanicznym inną roślinę, niż Przestęp. Jest to bylina, rosnąca w miejscach wilgotnych i cienistych, głównie w Europie południowej. Nazwa jej łacińska: Mandragora officinalis, albo Atropa mandragora Linn. Po niemiecku: die Zaunrübe, względnie Alraun. Korzeń kłączowaty miewa niejakie podobieństwo do postaci ludzkiej. Wyobraźnia ludowa starała się wytłumaczyć to podobieństwo i jako warunek powstania dziwnego korzenia przyjmowała połączenie się nasienia ludzkiego z ziemią. U niektórych ludów nasienie to musiało pochodzić od wisielca. Stąd wiara, że roślina powstaje pod szubienicą, stąd u Niemców nazwa korzenia „Galgenmännchen", od Galgen, szubienica. Do tego właśnie szczegółu odnosi się aluzja Gawareckiego: „Własne dzicię (rozumie się wisielca) albo człowiek wiszący, z głową, rękami i nogami" — jakby reprodukcja wiszącego, znaleziona pod szubienicą. Baśni o mandragorze były u nas bardzo rozpowszechnione szczególnie na Rusi. Tu właściwą mandragorę zastępuje wspomniany Przestęp, po małorusku Perestup (Bryonia alba) o mięsistym kłączu. Wierzono też, że obecność tajemniczej rośliny w ogrodzie, albo na podwórzu, przynosi szczęście. Zob. n. p.: Jaworski Juljan, Die Mandragora im südrussischen Volksglauben, Zeitschr. f. oesterr. Volkskunde, 1896, II, str. 353.

[28]) Zwierzyniec w Fontainebleau założył Henryk IV, który przepadał za tą miejscowością. Woljery znajdowały się w tem miejscu, gdzie dzisiejsza szkoła artylerji. Loisel, j. w., t. I, str. 277.

wyskakuje z wody w górę na łokieć i na dwa, a pochwytnie żabę."

Jesienią 1647 bawili Sobiescy w Anglji. Odwiedzili tam młodych królewiczów[29]) w pałacu ich, wśród zwierzyńca.[30]) „Zwierzyniec wielki, obmurowany wkoło, w którym najwięcej jest danielów." „Chodziliśmy też widzieć, kędy zawsze dwakroć w tydzień wprawują brytanów na niedźwiedzi i do bawołu. Jest rzecz piekna i ucieszna widzieć brytanów z niedźwiedziem, ale z bawołem jeszcze ucieszniejsza, bo rogami haniebnie brytanów w zwyż na kopją i dalej, rzuca do góry, jakoż i siła kaleczą psów". „Jeździliśmy potym rzeką w górę, jakoby do wioski, w której jest jeden dom, kędy pokazują etranżerom kabinet jeden. Tam godna rzecz barzo jest do widzenia, raritates barzo zacne, tak bestyj różnych morskich i ziemskich, tak ptaków, zwłaszcza indyjskich rzeczy barzo pieknych, pióra naturalne różnych ptaków, rozmaitych kolorów."

W rezydencji królewskiej na zamku w Hampton-Court,[31]) dopuszczeni byli Sobiescy przed oblicze królewskie i rękę króla ucałowali. „Tuśmy minęli zwierzyniec — pisze Gawarecki — na kilka mil wkoło obmurowany." W Greenwich[32]) znowu widzieli zwierzyniec, w którym był „dostatek zwierza, zwłaszcza danieli".

Opuściwszy 15 listopada 1647 Anglję, udali się Sobiescy do Holandji i zamieszkali w Hadze. Tutaj to słuchali wykładów o fortyfikacji, które tak znakomicie uzupełniły wrodzoną zdolność strategiczną Jana III i tak mu się w przyszłości przydały.

I jeszcze jedna wzmianka z zakresu zoologji, tym razem z Amsterdamu:

„Tuśmy mieli wiele do widzenia... Między inszemi widzieliśmy też ptaka, barzo rzecz piekną, pelikana. Wzrostem to jest wielkości jako łabędź, pióra wszystkie koloru izabelowego,[33]) czubek barzo piekny na głowie, jakoby z piór czaplich, co na kity u nas zażywają. Gardzil ma wielką nakształt jako owe morskie baby,[34]) i długi, a na końcu ostry pyszczek, którym dziurawi piersi swoje dla dzieci.[35]) A tak bestyja dziwnie posłuszna swemu mistrzowi we wszystkim. Potym widzieliśmy kilkanaście zybetów, starych i młodych, żywych, co piżmo rodzą, nakształt dzikich kotów, żbików naszych, jakoby tygrysowate, od których co trzeci abo czwarty dzień piżmo odbierają".[36])

Na tem się kończą interesujące nas zapiski Gawareckiego. W maju 1648 wyjechali Sobiescy z Hagi do Brabancji, a wkrótce doszły ich smutne wieści z ojczyzny. Najpierw o śmierci króla Władysława IV, potem o klęsce wojsk polskich kwarcianych na Ukrainie i o wzięciu dwóch hetmanów do niewoli, a wreszcie o śmierci ojca, niedawno przedtem mianowanego pierwszym senatorem Rzeczypospolitej, bo kasztelanem krakowskim. Na wezwanie matki ruszają więc w lipcu 1648 z powrotem do Polski, gdzie czekały już na nich wawrzyny wojenne.

Nie była to pora wywczasów i łowów. Służba rycerska pochłonęła obu braci niepodzielnie. Marek Sobieski walczy w roku 1649 pod Zbarażem, Jan w tymże roku pod Zborowem. Obaj razem, z chorągwiami swemi, biorą udział w pamiętnej bitwie pod Beresteczkiem (1651). W rok później, w maju, ginie Marek męczeńską śmiercią po okropnej klęsce pod Batowem. (C. d. n.)

[29]) W Anglji panował wówczas Karol I, Stuart (1625—1649). Było to na dwa lata przed jego ścięciem. Z Henrjetty Marji, siostry Ludwika XIII, miał sześcioro dzieci, w tem trzech synów. Byli to: Karol, późniejszy król pod imieniem Karola II, Jakób i Henryk, książę Gloucester.

[30]) Niewiadomo, o jakim tu pałacu i zwierzyńcu mowa, zwłaszcza, że o rezydencji królewskiej będzie wzmianka poniżej. Istniały zwierzyńce dworskie także w Tour de Londres i w Windsor. Loisel, j. w., t. II, str. 12—15.

[31]) Hampton-Court, rezydencja królewska pod Londynem.

[32]) Loisel nie zna ani zwierzyńca w Hampton-Court, ani zwierzyńca w Greenwich.

[33]) Kolor izabelowy przypomina kawę z mlekiem. Nazwa ta pochodzi od arcyksiężniczki austrjackiej, Izabeli, córki Filipa II, która miała uczynić ślub, że tak długo nie zmieni koszuli, dopóki małżonek jej nie zdobędzie oblęganej przez niego Ostendy. A że trzy lata upłynęły, zanim to się stało, przeto koszula przybrała charakterystyczną barwę... Couleur isabelle, mówi się w szczególności o koniach. Jest to tosamo, co po polsku bułany.

[34]) Baba: Pelecanus onocrotalus Linn.

[35]) Znany przesąd.

[36]) Zybeta jest afrykańska i indyjska, pierwsza w plamy (Viverra civetta), druga w pasy (Viverra zibetha), ta więc odpowiada opisowi Gawareckiego (podobieństwo do żbika). Zybety posiadają w okolicy otworu stolcowego kieszonkę z gruczołami, wydzielającemi ciecz o zapachu, podobnym do moszusu. W celu łatwiejszego zbierania treści, trzyma się zwierzęta w ciasnych klatkach, tak, by się zbyt nie usuwały podczas wyskrobywania kieszonki. Służy do tego specjalny przyrząd kształtu łyżki.



BOGUMIŁ MAGDZIŃSKI

Pseudotuberkuloza u zajęcy

Pseudotuberkulozę u zajęcy wywołuje bakterja, nazwana przez Dora — Streptobacilus pseudotuberculosis rodentium, a przez Pfeiffera — Bacillus pseudotuberculosis rodentium. Zmiany w organizmie wywołane przez te bakterje, podobne są — patrząc gołem okiem — do zmian, wywołanych przez bakterje gruźlicy. Dopiero badania mikroskopijne uwydatniają wielką różnicę.

Chorobę podobną do tuberkulozy odkryli po raz pierwszy uczeni Malassez i Vignal w r. 1883/84. Zaś w roku 1886 nazwał ją Eberth mianem pseudotuberkulozy. Następnie badali tę chorobę infekcyjną Dor, Charrin i Roger w 1888 r., a Pfeiffer zajął się w roku 1889 hodowlą tej bakterji i opisał wyczerpująco jej stronę biologiczną i morfologiczną i nadaje jej wyżej wskazaną nazwę. Pozatem całokształt choroby zbadali i opisali w roku 1889 — Zagari i Nocaro; w 1889/90 Grancher i Ledoux-Lebard, Parietti; w r. 1894 — Preisz, w 1896 r.

Tartakowski, Delbanco, Apostolopoulus; w 1897 r. — Bonome; w 1898 r. — Lucet; w 1900 r. — Cipollina; w 1905 r. — Opperman, Ströse; w 1908 r. — De Blasi; w 1909 r. — Albrecht. Porównanie pseudotuberkulozy z podobnemi do niej chorobami opracowali: w 1913 r. — Saisawa, Twort i Craig; w 1914 r. — Messerschmidt i Keller, Weltmann i Fischer, Zlatogoroff; w 1915 r. — Galli-Valerio; w 1919 r. — Roemisch, Hempel; w 1921 r. — Klein; w 1922 roku — Bachmann; Galli-Valerio uzupełnił w roku 1925 poprzednią swoją pracę nowemi spostrzeżeniami.

Bacillus pseudotuberculosis rodentium pasorzytuje nietylko w organizmie zająca, stwierdzono bowiem w licznych wypadkach obecność tej bakterji również w organizmach królików, morskich świnek, myszy, kóz, krów, kotów, drobiu, a w kilku wypadkach nawet w organizmie człowieka. Bakterja ta jest bardzo rozpowszechniona i wegetuje przeważnie w formie saprofita, czekając odpowiedniej okazji, aby zamienić się w pasorzyta, wywołującego pategenezę w ciele zwierzęcia. Jako dowód, że bakterja ta staje się saprofitem, służą nam stwierdzenia jej obecności w mleku (wykrył Parietti i Klein), w paszy (Ligières), w wodzie i pyle (Chantemesse) w ściekach (Klein), w ziemi (Granchar i Ledoux-Lebard).

Bakterja pseudotuberkulozy w postaci pasorzyta, czy też saprofita, jest równo mało odporna na ciepło, jak na zimno. Ciepło o 60⁰ zabija bakterję w dwóch godzinach, a dwudniowe przebywanie w eksykatorze (przyrząd do wysuszania przedmiotów wilgotnych w niskiej temperaturze) zabija ją również.

Bacillus pseudotuberculosis rodentium jest to krótka, o 1—2 mikronów długości, bakterja, dość gruba, o końcach zaokrąglonych. O zdolności jej poruszania się, zdania są rozbieżne. Uczeni jak Nocard, Parietti, Klein, Byloff, Plasaj i Pribam twierdzą, że u badanych przez mikroskop bakteryj zauważyli coś jakby wici, zapomocą których się poruszały. Natomiast inni uczeni zaprzeczają możności poruszania się bakteryj. Jak wyżej wspomniano, Dor nazwał bakterje tą Streptobacillus. Uczynił to z przyczyny, że mają one własność wzajemnego przyczepiania się w kształcie łańcucha lub kuli.

Pseudotuberkulosa objawia się zmianą różnych części organizmu zająca, przez tworzenie się gruzełków do wielkości grochu. Gruzełki te mają zabarwienie jasno czarne do żółtego, w środku mętne. Zewnętrznie są bardzo podobne do gruczołów tuberkulozy, lecz badania mikroskopijne ujawniają dość poważną różnicę. Gruzełki są wytworem zgrubiałego naskórka, składającego się z limfocytów i komórek tkanki łącznej; gdzieniegdzie spotyka się również leukocyty, natomiast komórek olbrzymich, jak przy tuberkulozie, się nie napotyka.

Czynnikami zarażającemi zające, są przeważnie króliki. Infekcja rozszerza się między królikami, tem więcej, że przebywają one w norach, gdzie promień słoneczny, najskuteczniejszy wróg bakterji, nie dociera i tem samem zarodników nie zabija. Z kałem roznosi królik bakterje po polach, gdzie zające mają możność zarażenia się niemi. Największym sprzymierzeńcem infekcji jest wiosna, kiedyto pola słabo porastają trawą i stąd tak króliki, jak i zające odwiedzają te same porośnięte skrawki pól i tak zające, ulegają masowej infekcji. Z rośliną, zakażoną przez kał bakterjami, dostają się zarodniki do wnętrza ciała, mianowicie do jelita i osiadają na jego błonie śluzowej, a stąd przedostają się do najbliżej znajdujących się gruczołów limfatycznych. Zdarza się również, że bakterje przedostają się do wątroby, płuc, śledziony, nerek, oraz innych gruczołów limfatycznych ciała. Chore części organizmu są zazwyczaj znacznie powiększone. Najwięcej odznaczają się guzy z bakterjami w gruczo-

TYTUS KARPOWICZ

COŚ Z SERCA...

P. Leopoldowi Pac-Pomarnackiemu
poświęcam

Srebrzysta, ubrana w puchy śnieżne zima... Las wygląda jak zaczarowana kraina, wyiskrzona mirjadami wzorzystych płatków... Pociąga ku sobie drzemiącym w każdym krzaczku, w każdej zagiętej gałązce drzewa urokiem, wabi do wstąpienia w jego białe progi...

Jak w wielkiej, jasnej świątyni — panuje w nim majestatyczna, niczem niezmącona cisza... Tylko gdzieś w konarach wybujałych sosen odzywają się cieniutkiemi głosami małe sikorki... Tylko zaszeleści, spadając z gałęzi na gałąź, wystrojona w ciepłe, popielate futro wiewiórka, i — zostawiając za sobą srebrzysty tuman otrzęsionego śniegu, znika w swawolnym tańcu w gęstwinie...

Puszcza zdaje się spać.

* * *

Cicho..., bez szmeru, otwarły się drzwi wtulonej w las chaty. W kłębie buchającej z wnętrza pary ukazała się tęga postać odzianego w kożuch myśliwca, z przerzuconą przez ramię strzelbą i parą gończych u nogi.

Na łowy z ogarami!...

Na czarowne łowy w srebrzącej się w bladem słońcu zimowej knieі, na łowy, które w duszy myśliwego pozostawiają niezatarte wspomnienie na całe życie, na myśl o których serce jego szybciej uderza!

Wyszedłszy za ogrodzenie, minął pokrytą śnieżnym całunem łąkę i zagłębił się w cichej puszczy... Psy niecierpliwe, spragnione pogoni za chyżym zwierzem — rwały się z otoków na lewo i prawo, wtykając nosy pod młode choiny, chciałyby już pędzić, wieścić puszczy zajadłym gonem ucieczkę zwierzęcia...

Mijał Andrzej, gęstwą pędów tamujące przejście, brzeźniaki, przeciskał się przez krzewy bezlistnych leszczyn i kalin, przedzierał z wielkim trudem przez zwartą masą broniące dostępu, młodziutkie, zielone zagajenia świerkowe — nim wreszcie, po półgodzinnem poszukiwaniu tropu, zadyszany przystanął.

Nie byle co! Osiemdziesiąt zgórą lat spoczywało na jego pochylonych barkach, — a starość przecież uznaje zmęczenie!

Co więc gnało go w mroźny dzień zimowy w daleki

łach limfatycznych. Zakażona wątroba, a przedewszystkiem śledziona, jest często dwa do trzech razy większa od normalnej zdrowej, przyczem otaczająca gruczoły parenchyma, jest silnie zaogniona. Również w płucach gruczoły chorobotwórcze odznaczają się od reszty otoczenia. Płuca, jak Ströse twierdzi, mają być zaatakowane również i bezpośrednio z powietrza. Stwierdza to również także i Oppermann, opierając się na wypadku, który zaobserwował osobiście. Zdarza się często, że bakterje pesudotuberkulozy napadają i ślepą kiszkę, która wówczas zamienia się w twardą rurkę o grubości palca (kciuka). Błona śluzowa ślepej kiszki nabrzmiewa do czterokrotnej grubości, pokrywa się gęsto małemi zserowaciałemi gruczołkami i odgranicza się od przyległej błony śluzowej jelita ostro opadającem zgrubieniem.

Zarażenia powyżej opisanemi bakterjami następują taksamo i podczas parkotów (Oppermann), przyczem bakterje przenoszą się chętnie na błonę śluzową macicy. — Błona śluzowa macicy zostaje również opadnięta bakterjami drogą metastazy.

Serum chorych albo uodpornionych świnek morskich ma własności aglutynacyjne (zlepianie się w gromadki i unieruchomienie bakteryj chorobotwórczych) (Ledoux — Lebard)[1]).

Zarażenia wywołane sztuczną infekcją wywołały silne osłabienie i opadanie z ciała, tak, że w okresie końcowym choroby, zwierzyna podobna była do szkieletu. — Świnki morskie, które miały zaszczepione bakterje pseudotuberkulozy, padały w tygodniu. Naturalna infekcja nie wywołuje tak szybkiego zniszczenia organizmu.

Stwierdzenie obecności pseudotuberkulozy w rewirze, nakłada na każdego hodowcę obowiązek zainteresowania się zwalczaniem tej choroby. Pierwszym warunkiem, to stwierdzenie — jakie obszary opanowała pseudotuberkuloza, czy jeden lub kilka rewirów, czy tylko na własnych polach choroba się pojawia, czy też w sąsiednich rewirach. Następnie należy zawiadomić o wybuchu pseudotuberkulozy sąsiednich właścicieli łowisk i hodowców zwierzyny. Jeżeli rewiry sąsiadów są również zaatakowane, wówczas zadaniem jest zwalczać chorobę wspólnie, bowiem w innym wypadku chore zające przechodzą na teren, gdzie się pseudotuberkulozę zwalcza i o skutecznem tępieniu choroby mowy być nie może.

Następnie należy przeprowadzić odstrzał zwierzyny i to w krótkim czasie — bezwzględny, inaczej choroba przewlecze się na kilka lat i rozszerzy wprost zastraszająco. Jedynym racjonalnym odstrzałem, to polowanie z nagonką, inny rodzaj polowania, daje tylko połowiczny skutek. Po odstrzale należy rewir zostawić w spokoju. Przedewszystkiem należy dbać o to, aby zdrowe zające nie przeszły na teren opanowany zarazą. Najskuteczniejszym środkiem to oparkanienie miejsca opanowanego chorobą, płotem drucianym. O takich parkanach mówi Schumacher w swym podręczniku „Das Rautengatter“[2]).

Ponieważ zakładanie parkanów trwa kilka, a niekiedy i kilkanaście dni, należy natychmiast po zauważeniu wybuchu choroby, odnośną ostoję otoczyć straszakami. Fladry, odstraszające zwierzynę, nie pozwalają jej na rozprzestrzenienie choroby. Straszaki używane są też do polowań, zatem wielu hodowców posiada je tem bardziej, że je łatwo samemu zrobić. Dobre usługi oddają straszaki z płótna. Do sznura kokosowego, przyszywa się w pewnych odstępach płaty płótna porowatego, a następnie zanurza się straszak w płynie o przykrej woni, której zające nie znoszą. Płaty takie należy w pewnych odstępach czasu skrapiać płynem odstraszającym.

[1]) Ledoux-Lebard, Arch. de med. expérim. 1891. Nr. 2.

[2]) Nakład J. Neumann, str. 111—128.

---

las? Jaka siła zdołała zmusić sędziwego już starca do opuszczenia ciepłej chaty, do męczącej wędrówki po głębokim śniegu? Jaka to tajemna moc kazała mu to czynić!?

Obrzuciwszy bystrym jeszcze wzrokiem wolny od drzew pagórek, zrzadka porosły małemi świerczkami, — spostrzegł wielki, biegnący sznurem trop, rysujący się wyraźnie ciemniejszemi plamami na nieskazitelnej bieli śniegu...

Podobny różańcowi wielkich, sinych pereł, trop rysia, tak obiecujący, tak świeży!... Zadrgało z uciechy i jakiegoś wzruszenia serce myśliwskie, dłoń szarpnęła mimowoli obwiązaną dokoła niej smyczą...

Naprowadzone na ślad i skomlące radośnie ogary zwolnił z otoku i, chwilę goniąc roześmianemi oczyma rwące już tropem psy, — nim znikły w gęstem podszyciu kniei..., — przysiadł na omszałym, odzianym w puch śnieżny pniu...

Nasłuchiwał z naprężeniem, ściskając gwałtownie w dłoniach zdjętą z ramienia strzelbę.

Puszcza stała cicha... uroczysta...

Wśród bieli śnieżnej tryskały ku górze czerwone pnie sosen, strojne w wielkie, matowo-zielonej barwy kapelusze... Na lewo — w dali, znaczył się wzorzystą koronką na ciemnem tle chojarów fioletowy brzeźniak; bliżej — na prawo, wabiły ku sobie wzrok pełne dzikiego piękna, czarne wykroty zmurszałych drzew, osypane miejscami śniegiem, gęsto przykryte zaroślą młodych, krępych choinek... Cicho — żadnego głosu... Tylko pracowity dzięcioł, kując głośno w gnijącą gałąź osiny, krzyknął czasami dźwięcznie, ożywiając las...

Nagle! W ciszę puszczańską wkradł się jeden, potem drugi..., a następnie trzeci i czwarty, krótki, urwany dźwięk.. — to szczek doławiającego się na wyraźnym tropie ogara. Dołączył się do niego niebawem wyższy, dźwięczniejszy głos suki... — i wkrótce, zlewając się w jedną, płynniejszą melodję, coraz to potężniejąc, nabierając pewności i siły, odbijana wśród starodrzewia tysiącznem echem, popłynęła w cichą, wysrebrzoną słońcem zimowem dal, przez tajnie i uroczyska puszczy... — długa, pełna mocy, czarowna pieśń gonu...

I dźwięczała, jak surma wzywająca na bój..., przewalała się gromem przez dzikie wądoły, napełniając las przepiękną muzyką, trafiała w rozełkaną duszę Andrzeja wspomnieniem żywem lat dawnych... ukojeniem...

Ożywiła się knieja... Rozebrzmiała kaskadą tonów...

Straszaki wiesza się albo między drzewami, albo też między palikami wbitemi w ziemię. Na granicach ostoi należy prócz tego przebywające tam zające, o ile możliwe, strzelać, ażeby uniknąć tem pewniej ponownej infekcji.

Ponieważ kruki i wrony chętnie roznoszą wnętrzności zajęcy padłych, należy padlinę szukać i usuwać ją. Znalezioną padlinę należy ostrożnie przenieść w workach na miejsca, gdzie się ją gromadzi i uważać, ażeby bakterje nie rozprzestrzeniły się przez rozniesienie farby i patrochów. Worki należy po każdem użyciu zanurzyć w 3% rozczynie mydlin kresolowych i wysuszyć. Robotnicy, którzy wykonują tę pracę, powinni nosić rękawice, gdyż przy najmniejszej rance na rękach, rozkładająca się padlina może spowodować zakażenie krwi. Miejsca na których leżała padlina lub znalezione patrochy, należy skropić również 3% rozczynem mydlin lub proszkiem saprolu, których zapach odstrasza zające i działa zabójczo na zarodniki pseudotuberkulozy. Padlinę znosi się jak wspomniano w workach na jedno miejsce, stąd transportuje się ją do dołów zapomocą wozów. Wozy powinny być szczelne, tak ażeby z nich nic nie mogło wypaść a krew się wysączyć. Wozy należy po użyciu zmyć gorącym rozczynem wody z sodą i spłókać płynem dezynfekującym. Padlinę usuwa się zakopując ją głęboko, tak żeby ją pokrywała warstwa conajmniej metrowa ziemi. Ziemię obok dołu, na której leżała padlina przed zakopaniem, należy zebrać i wrzucić do dołu z padliną. Dla zabezpieczenia padliny przed lisami, szczurami, krukami i wronami, skrapia się ją kreosolem. Do zakopywania padliny wybiera się miejsca możliwie suche i wyżej położone (woda zaskórna nie płyciej jak na 2 metry), nie leżące w pobliżu domów mieszkalnych, stajen, paśników, remiz, pastwisk, łąk leśnych, dróg, studzien i wód. Miejsca, gdzie padlinę zakopano, należy ogrodzić. Oprócz zakopywania, stosowane bywa też palenie padliny. Palenie odbywa się w następujący sposób: Wykopuje się rów o głębokości do 2 m, a długości takiej, ażeby po ułożeniu padliny pozostała z obu stron przestrzeń mniejwięcej pół metrowa dla przewiewu. Następnie wykłada się rów (z pozostawieniem przewiewów) suchemi, odpowiednio grubemi gałęziami, lub gałęziami nasyconemi smołą pogazową lub naftą, na gałęzie kładzie się pokład słomy lub suchego chrustu, a na ten dopiero padlinę. Dla lepszego spalania można również padlinę polać smołą lub naftą. Na padlinę kładzie się znów pokład słomy lub chrustu i stos przykrywa się bryłami ziemi. Z boków przy przewiewach pokłada się z dołu nieco łatwopalnego materjału, np. suchego chrustu, suchej kory drzewnej lub słomy. Przy spalaniu należy uważać, żeby płomień nie przeszedł przez górny pokład ziemi, gdyby taki wypadek zaszedł, należy odnośne miejsce natychmiast zasypać świeżą ziemią. Do spalania obiera się miejsca wolne, spaleniska zakładane w lesie, szczególnie w porze suchej, muszą być zabezpieczone, aby ogień nie przerzucił się do drzewostanu.

Równocześnie należy przestrzegać patroszenia zajęcy w łowiskach, a w każdym razie patrochy należy usunąć w bezpieczne miejsca. Jeżeli zauważy się pseudotuberkulozę wśród królików, wówczas należy je bezwzględnie wszystkie odstrzelić, gdyż króliki są niebezpiecznymi roznosicielami pseudotuberkulozy. O radykalnem tępieniu w takich razach królików, pisze S t r ö s e w „Jahrbuch des Instituts für Jagdkunde“, Bd. I. s. 183, nakładem J. Neumann w Neudamm.

Ponieważ pseudotuberkuloza nie ma wpływać na organizm człowieka, wobec tego mięso odstrzelonych w tym wypadku zajęcy, można spotrzebować. Mięso takie jest smaczne wówczas, kiedy zając jeszcze nie schudł i bakterje ograniczają się tylko na jelicie i jego gruczołach limfatycznych.

Poderwał się Andrzej z pnia, obejrzał strzelbę i, odmłodzony, z twarzą pełną radości, gnał ku znanemu przesmykowi...

Gon coraz bardziej oddalał się od niego, nieznacznie zataczając olbrzymi krąg na prawo... Ruszony, widocznie, stary ryś-samotnik zataczał wielkie, regularne koło, okrążając swe leże.

Śpieszył więc Andrzej na daleki przesmyk, by na czas zdążyć, by zabiec drogę gonionemu przez psy drapieżnikowi. Ciężka jest droga przez zwały pni, zasypane śniegiem, zarosłe gęstwą krzewów, urozmaicona przeróżnemi wklęsłościami, zbrojna w sterczące gęsto z ziemi ostrza przegniłych gałęzi i korzeni..., — trudna do przebycia nawet dla młodzieńca, a... co mówić o nim?

Spocił się, zadyszał — lecz sunął uparcie naprzód, bo gnała go emocja, jakąś nieprzezwyciężoną siłą ciągnął ku sobie, obudzony w duszy jego zew łowów, charakterystyczny zarówno pierwotnemu mieszkańcowi ziemi, jak i człowiekowi XX. wieku...

Tymczasem przyciszona przez odległość harmonja tonu — potężniała, oznajmiając zbliżanie się zwierza.

Jeszcze kilkadziesiąt kroków, i myśliwy stanął ukryty za grubym pniem sosny, w cieniu mrocznego, nawisłego gałęźmi ku ziemi chojara, z gotową do strzału bronią.

Gon coraz bliżej brzmiał i bliżej... Toczył się kaskadą czarownych tonów tuż, tuż..., w stronę stanowiska Andrzeja. Ścigany wyga przekradał się, widocznie, znanym sobie od lat tropem — brzegiem leśnego strumienia, porosłego z obu stron gęstwą młodych drzew i krzewów...

Myśliwy wytężył wzrok i słuch.

Ani cienia ruchu... Wtem! o kilkanaście metrów zaledwie od niego, w dole, u stóp pagórka, drgnęły dolne gałęzie choiny: przy samej ziemi ukazała się rudawa, wielka głowa, o bystrych, świdrujących oczach.

Ryś!...

Andrzej błyskawicznym ruchem podrzucił broń do oka i — ściągnął spust; huknęło — odpowiedziała potężnem echem puszcza..., a zbierający pod siebie łapy do zbawczego skoku bystry zwierz, machnął kozła w powietrzu, opadł na ziemię... — i, dawszy susa, przepadł w gęstwinie...

Serce Andrzeja waliło, jak dzwon na pożar... — czuł je nieomal w gardle! Strzelił z prawki kulą, nie chcąc dziurawić loftkami puszystego futra, bo strzał był tak

Rozejm wśród posuchy

(Z „Drugiej Księgi Dżungli").

Kałuże wyschły — stan wody spadł,
więc żyjem z sobą za pan brat!
Z pyłem na sierści i z ogniem w paszczy
pośród nadbrzeżnych tłoczym się haszczy.
Wśród lęku, spieki — ani nam w głowach
choćby przelotna myśl o łowach!
Sarniąt nie płoszy buremi kudły
wilk — jako one trwożny, wychudły;
łania też śmiało pogląda nań,
choć on jej ojcu przegryzł krtań!
Kałuże wyschły — stan wody spadł —
bawmyż się z sobą za pan brat
O łowach mówić nawet nie śmiejmy,
nim deszcz nam zmyje wszelkie rozejmy!

Przełożył Józef Birkenmajer



WŁADYSŁAW GACKI

Myśliwy i Rybak

(szkice i obrazy obyczajowe)

(Ciąg dalszy)

7. Rybacy-wędkarze.

Wędkarstwo jest stosunkowo przystępniejszym sportem. W dotychczasowych warunkach rabunkowej gospodarki rybnej na ziemiach b. Kongresówki, teren zazwyczaj nic nie kosztuje. Nawet staranne zaopatrzenie się w przyrządy wędkarskie jest znacznie tańsze od średniej wartości strzelby. A przecież strzelba to tylko część, wprawdzie najważniejsza, rynsztunku łowieckiego. Tem się być może tłumaczy, że zwolennicy wędkarstwa rekrutują się z wszelkich grup społecznych: urzędnicy, „wolne zawody", zarówno jak rzemieślnicy, rolnicy, wyrobnicy składają się na rzesze wędkarzy.

Nie mogą tu być brane pod uwagę gromady młodocianych rybaków, wałęsających się z wędkami, jak biczyska. Stanowią oni prawdziwą plagę wędkarstwa: obcinają rybę, kaleczą, chłopskim zwyczajem biorą wszystko, co się da złowić. Nie należą również do wędkarzy „zawodowcy", uzbrojeni w drągi, w wędki z drutu; częstokroć zmyślni w sposobach nęcenia, podchodzenia, stosujący w łowieniu przemoc fizyczną. Rekrutują się z pośród mieszkańców osad i miast, położonych nad większemi rzekami. Skłonność do lenistwa stanowi tu pierwszy warunek „zawodu". Po paru udałych próbach, zachęcony niezłym zarobkiem, wciąga się do rybaczki, zaniedbując okresowo własny fach rzemieślnika. Zarobki z tej rybaczki bywają wydatne i wymownie świadczą, że wędka nie jest niewinnem narzędziem, zabawką. Tego typu rybacy, to kłusownicy wędkarstwa.

Wśród zamiłowanych wędkarzy można wyodrębnić dwa zasadnicze typy. Pierwszy z nich, to zręczni techni-

bliski, tak łatwy — do nieruchomego przez jedno mgnienie oka rysia... Ale czyżby chybił? Zwierz wywinął wprawdzie kozła — może to był fortel chytrego stworzenia? Dlaczego nie poprawił z lewki...? Takie myśli nie dawały spokoju stojącemu za drzewem łowcy...

Lecz niedługo...

Dołem, jakby korytem strumienia, walił jak burza, jak huragan, potężny gon i dźwięczał, huczał, grzmiał... Zziajane, dyszące ciężko ogary minęły stanowisko Andrzeja, nie widząc go, z nosami utkwionemi w świeżutki trop. Serce myśliwskie biło, jak młot; — jeszcze kilkanaście kroków... i pieśń gonu, jak ucięta, urwała się. Więc psy dopadły zwierza! Co za radość! Łów zakończony pomyślnie!

Skoczył Andrzej przez zarośla, przesadził strumień, i tuż..., na polance, ujrzał rozciągniętego wspaniałego rysia, o futrze bujnem, na łapach centkowanem.

— „Piąty..." — wymówiły z cichą radością jego usta.

Rozjuszone, spienione psy na smycz ujął, uwiązał do świerczka, by nie szarpały skóry rysia i usiadł zmęczony na powalonej u skraju polanki kłodzie. Odpoczywał, dumając rozkosznie.

Tyle lat łowów — długa, przepiękna wiązanka wspomnień myśliwskich, pełnych uroku... Tyle emocyj..., przeżyć..., wrażeń..., — i jeszcze nie dosyć! Zawsze dla niego las jest niezgłębioną krainą baśni, zawsze niewypitym do dna kielichem upajającego nektaru... zawsze łów jest mu najczystszym i jedynym rodzajem rozkoszy...

A teraz chociażby!... On — osiemdziesięcioletni starzec, pędził jak czerstwy młodzian, przebywając kilometry po uciążliwej, pełnej wertepów drodze w pogoni za zwierzem... Dlaczego??? Czy gonił go może zysk, wizja puszystego, drogiego futra?!...

O, nie! po stokroć: nie!...

Był tak daleki, a jednak tak bliski każdemu myśliwskiemu sercu zew łowów! To zagrała w nim krew pierwotnego człowieka, targając pęta cywilizacji — wzywała go do dawnego bytu natura!...

Jak sam mawiał — było to „coś z serca — jakaś tajemnicza moc..." O, tak!! Było to coś z serca, coś..., co na dnie każdej myśliwskiej drzemie duszy, jakaś dziwna, tajemna, przepotężna moc, ukryta w rozkosznej łowieckiej przygodzie!

cy, stosujący, zależnie od wypadku, łowienie „biczyskowe" (bez kołowrotka), jak łowienie z rolką, dobrze i szybko orjentujący się w terenie; punktem ciężkości jest tu obfity połów, jakkolwiek zysk materjalny nie wchodzi w rachubę. Pole ich obserwacji ogranicza się do najbliższego miejsca połowu. Stosunek ich do przyrody nacechowany utylitaryzmem; obce są im przeto przeżycia, warunkowane obcowaniem z przyrodą. Towarzyscy w życiu codziennem, podczas połowu nie znoszą bliskiego sąsiedztwa. Są wytrwali, nie zrażają się niepowodzeniem: stanowi to jednakże cechę wszystkich wędkarzy.

Drugą kategorję stanowią wręcz odmienne struktury. Zdarzają się wśród nich znakomici technicy, zarówno jak notoryczni partacze, jednoczy ich atoli wspólna cecha: przedziwne skupienie, dostojna powaga, z jaką przygotowują się do wyprawy, do połowu i zachowują się podczas samego łowienia.

Są to często jednostki o wyższej kulturze duchowej; niekiedy przepracowani umysłowcy, marnujący się lub zmarnowane talenty, jacyś ludzie chybieni, czy troskami przybici; w życiu społecznem odcinają się niekiedy karykaturalnemi rysami ludzi zbędnych, nie na miejscu, lub bez właściwego miejsca dla siebie.

Namiętni wędkarze!

Kto przeniknie, jakie misterja odbywają się w duszach tych smutnych i dobrodusznych dziwaków, gdy zaszyci w trzciny lub trawy, zasłuchani w szumy, szmery i pluski, zapatrzeni w wody, z których każda dla rybaka ma inne oblicze i własny swój wyraz, z namaszczeniem obserwują w długie godziny ruchy spławika na zacisznych dołkach, zatokach i kapryśne, figlarne jego pląsy na ruchliwych bełtach i spienionych rafach...

Czy w ciągu tego cichego, skupionego oczekiwania, gdy wędkarz sonduje tajemnicę głębi wodnej — nie stają się w duszy najtrwalsze jej ustanowienia, dojrzewanie tej mądrości życiowej, co odróżnia pozór, złudzenie, wrażeń zmienną mozajkę od prawdy, samą siebie rodzącej, co nurtem potężnym przejmuje całą istotę, jako treść jej własną?...

Wędkarz przez dłuższą praktykę wyrabia w sobie uwagę wtórną — bierną. Długie ciągi myślenia, stany kontemplacji bywają mącone lub przerywane falami emocji, gdy wędkarz podetnie grubszą sztukę i mozoli się, aby ją wydobyć na brzeg.

Dobrze jest, gdy ryba bierze, gdy się choć zrzadka, bodaj mniejsze sztuki z haczyka zdejmuje. Nie zniechęca się jednakże rybak brakiem rezultatu: „ryba dziś nie bierze" — co stanowi raczej podstawę dla nowej nadziei, że niezawodnie będzie brała nazajutrz lub w jakiejś nieokreślonej przyszłości, przy zmienionych warunkach atmosferycznych lub po zastosowaniu innego, lepszego sposobu łowienia.

Ma się tu sposobność podziwiać pewną cechę natury ludzkiej: niespożyty optymizm, warunkowany głębszem zamiłowaniem, odporność na zawody i niepowodzenia. Obok innych przejawów działalności ludzkiej, daje to podstawę do twierdzenia, że przedmiot sam przez się nie jest interesujący, że ośrodek zainteresowania tkwi w psychice, stanowiąc wewnętrzne jej palenisko zużywania energji; warunkuje ono dobór środków działania. Niepowodzenia najchętniej przypisując warunkom zewnętrznym, staramy się je zmienić lub ulepszyć; ujmowane przyczynowo od zewnątrz, bywają bez znaczenia, bez głębszego wpływu na treść i siłę naszych zamiłowań. Trzeba widzieć tych ludzi, niekiedy już latami obarczonych, po nocy bezsennej, właściwie, po parogodzinnej drzemce w stodole, na słomie, bylejakiej komórce lub na płaszczu, nad wodą — po całodziennych trudach rybackich, wygłodzonych, gdy wieczorem wracają bez ryb, zasiadają do wspólnej wieczerzy, opowiadają swoje przygody, chwaląc sobie wspaniale spędzony dzień!...

Nasuwa to przypuszczenie fantastyczne, bez żadnej bowiem możności sprawdzenia go, że ma się do czynienia z jakimś atawistycznym popędem, który skłania pewne jednostki do porzucania warunków zwykłej egzystencji, dobrobytu, wygód, aby doświadczyć, bodaj przejściowo, innego trybu życia, prostego, nieomal pierwotnego.

Nawet nabyty przez rybaczkę reumatyzm wielu nie odstręcza od wędki: część urlopu spędza się wówczas na rybach, część — na kuracji w Busku lub Solcu.

Należałoby także wyodrębnić grupę, spotykaną również wśród myśliwych: rezonerów-teoretyków, zazwyczaj wracających z wyprawy bez żadnego rezultatu. — Poznawanie terenu, wybór przynęty, rodzaje wędzisk, sznurków, kołowrotka, przyrządzanie przyponu, spławika, wiązanie haczyka — każdy z tych szczegółów, nabiera nadzwyczajnej doniosłości w długich, profesorskich wywodach, a znaczenie spławika w dość fantastyczny sposób bywa upodobniane do wyżła, gdy węszy, tropi i robi stójkę...

W krótkim szkicu, mającym zresztą inne zadanie, jest niemożliwem streszczenie całej masy drobiazgowych wiadomości, nabytych przez doświadczenie wieków. Zapewne, wśród wędkarzy, jak wszędzie, bywają szczęśliwi i pechowcy. Doświadczenie jednakże wskazuje, że z grupy kilku, czy kilkunastu wędkarzy, operujących w jednakowych warunkach pod względem czasu i miejsca, najczęściej ten się pochwali najlepszym połowem, kto zna teren i umie łowić.

Wędkarstwo właściwe, jako umiejętność i popis zręczności, naogół jest żmudne i kłopotliwe. Zależność wędkarza od pogody jest bardzo dotkliwa. Myśliwy, wybierając się na polowanie, zabiera strzelbę, torbę z nabojami, plecak i gotów! Wędkarz w swej torbie musi mieć nieomal cały magazyn: sznurki, rozmaite przypony, haczyki, ciężarki, spławiki i brak bodaj jednego z tych drobiazgów, może mu popsuć całą przyjemność.

A wieleż to musi nadreptać się, próbować i mozolić, zaczem natrafi na miejsce i czas „brania"!

Prawdziwego wędkarza cechuje nie skłonność do rezygnacji: „ryba nie bierze, a więc spoczynek", lecz przedsiębiorczość, pomysłowość, wytrwałość w szukaniu sposobów, aby ryba wzięła. Dopiero po wszelkich nieudałych próbach sakramentalnie orzeka: „ryba dziś nie bierze".

Nierzadko, niestety, los je na nim wymusza!

Wyjątkowa cierpliwość stanowi wybitną cechę wędkarza.

Wytrzymałość myśliwego jest wystawiona na próbę, gdy chodzi dzień cały w kotłach zimowych, gdy każą

mu stać na wyznaczonem stanowisku. Nie może to jednakże iść w porównanie z cierpliwością rybaka. Cechuje go również wytrzymałość na niewygody, głód, na bezsenność i dotkliwe chłody poranne, gdy staje nad wodą o bielącym się świcie.

Ujawnia upór w oczekiwaniu pomyślnego wyniku — sztucznego bądźcobądź zabiegu, doświadczenia, którego rezultat nie jest nigdy pewny ze względu na czynniki, nie dające się całkowicie opanować.

Czy nie jest to w gruncie rzeczy manjactwo?

Wobec wydatnych złych skłonności i popędów, jakie ujawnia człowiek, niesłusznem byłoby zapoznawanie zalet i cnót, jakie człowiek wyrobił w sobie, tworząc cywilizację; lekkomyślnem przeto byłoby odmawianie cierpliwości należnego jej tytułu — cnoty.

Jest ona trudną zdobyczą cywilizacji w obecnym świecie złożonych stosunków i zależności, jest nie do pomyślenia zdobycie, tembardziej opanowanie jakiejkolwiek umiejętności bez tej cnoty, rozumianej jako zdolność do trwałych wysiłków i wytrzymałość na cierpienie. Skoro więc wędkarstwo wymaga cnoty, nie jest więc w swej istocie manjactwem.

Czy nie jest to jednakże marnowanie energji, złe użycie cnoty — wobec tak nikłego wyniku żmudnych starań: głupiej, złowionej ryby?

Pytanie to często obija się o uszy wędkarzy. Potwierdza ono słuszność paradoksu, iż o głupocie ryby posiadamy znacznie mniej pewnych wiadomości, niż o głupocie ludzkiej. Pytanie to jest niedorzeczne, gdyż wprowadza zawsze względny, objektywny sprawdzian w dziedzinę bezwzględnych, subjektywnych wartości. Czy nie jest zresztą większem marnotrawstwem energji „wysilanie intelektu“ w kombinacjach brydżowych lub orgja rozmamiętnionych tłumów wobec zapasów pięściarzy?

Rybak głębiej tkwi w przeszłości, niż myśliwy. Sposoby rybołówstwa stosunkowo mniej się zmieniały w ciągu wieków, niż systemy łowieckie. Nieomal cały dorobek doświadczenia zawdzięcza rybak tradycji ustnej, stanowiącej zwykle mocną więź z przeszłością. Pozbawia ona treść dawną perspektywy, podaje ją w formie żywej, bezpośredniej, plastycznej, — zbliża ją przeto, niwelując przepaść wieków.

Ten liryczny stosunek do przeszłości, właściwy również myśliwym, być może w słabszem natężeniu, przejawia się w odezwaniach starych rybaków, że niegdyś, przed wojną, lat temu 20, było ryby tyle, że rękami można ją było brać; wystarczyło parę pacierzy pod krzakiem z wędą posiedzieć, to ich wiadro nałowił i jakich!...

Te opowieści — wspomnienia, jak zwykle, nie są wolne od przesady, dźwięczy w nich jednakże utajona tęsknota za tą lepszą, bogatszą przeszłością i żal jawny, że ongiś było lepiej we świecie, bo była tęga ryba!...

Wędkarz nie tyle jest zazdrosny o łowioną rybę, ile o miejsce połowu. Jak śród myśliwych wchodzi tu w grę rywalizacja: miło jest pochwalić się dobrym połowem. Kulturalni wędkarze zazdroszczą oczywiście nie ryby, lecz przyjemności jej złowienia. Nierzadko się zdarza, że wędkarze niechętnie jedzą rybę, jak myśliwi — zwierzynę. Inna sprawa — miejsce połowu: w jego wyborze całe doświadczenie i spryt wędkarza, to punkt honoru i wciąż nowa stawka na wielką wygraną! Do upadłego gotów jest bronić swego stanowiska. Przed świtem staje nad wodą, aby go nikt nie uprzedził.

Zapewne, wynalezienie i przygotowanie do połowu wybranego miejsca niemało wymaga zachodu, szczególnie, gdy wędkarz nęci rybę. Ileż to nocy nie dośpi, ile się nadrepcze, krzyża nałamie, zbierając nocą dżdżownice przy latarce! Ile drogi zrobi, aby o porze właściwej sypać rybom „karmę“! Ile przytem ostrożności, aby nie być podpatrzonym! Słusznie broni wędkarz swego stanowiska, bo zdobywa je ciężkim mozołem!

Myśliwi i rybacy są przesądni. Ten rys psychiki łowieckiej, tylekroć już w literaturze myśliwskiej zaznaczany, wynika być może z poczucia zależności od czynników tkwiących w samej przyrodzie, częściowo tylko znanych, które w swym całokształcie nigdy nie dają się opanować.

Bardziej, niż myśliwy uzależniony od wpływów atmosferycznych, być może innej jeszcze natury, oddziałujących na przebiegi życia, ukrytego w głębinach wód, wędkarz jest przesądniejszy od myśliwego.

Nie znosi życzeń. Niejeden wraca do domu, gdy go uraczą po drodze życzeniem szczęśliwego połowu. Nie wolno przekroczyć leżącej na ziemi wędki, bo potem szczęście od niej odchodzi. Wędki się nie pożycza dla tego samego powodu. Wędkarze prostacy zazwyczaj nie chwalą się połowem, aby uniknąć uroku. Cudza wędka, bodaj lepsza, nie przynosi szczęścia, chyba że ofiarowana jest z przyjaźni i przez szczęśliwego rybaka. Gdy jest zajęty połowem, nie znosi świadka, widza, bo złemi oczami może urzec wędkę i miejsce połowu. Natomiast, gdy skończył swój ceremonjał lub zrezygnował z połowu, chętnie zasiada, aby popalić w towarzystwie i dobrodusznie pogwarzyć. Rybacy to przeważnie namiętni palacze.

Chodzenie, deptanie po brzegu niewątpliwie odstrasza rybę. Rybak kryje się w krzewach, trzcinach, aby cieniem własnym nie płoszyć ryby. Niekiedy zasady te pedantycznie bywają przestrzegane.

Wędkarz jest kochankiem ciszy. Posiada ona własną wymowę, dostępną dla rybaka. I w tem być może tkwi niewysłowiony czar wędkarstwa. Znamiennym jest zupełny brak pieśni rybackich. Operując na głębinach, cały świat mistycznych związków z ziemią, z wodami, rybak zamyka w głębi własnej istoty.

Cisza rytualna, w jakiej pogrąża się wędkarz, wymaga odosobnienia. W przeciwieństwie do myślistwa wędkarstwo jest zajęciem indywidualnem; bywa wyrazem potrzeby i zamiłowania do samotności.

Jakkolwiek przez francuskie i angielskie kluby sportowe bywają urządzane konkursy i popisy wędkarskie, prawdopodobnie dla podtrzymania życia towarzyskiego wśród członków, nie zmieni to jednakże charakteru wędkarstwa: wymaga ciszy i odosobnienia.

W przeciwieństwie do myślistwa, niewolnego od tradycyj stanowych, wędka niweluje różnice stanowe. Szanując w stosunkach wzajemnych niezależność zawodową, stowarzyszają się dla wspólnych wycieczek ludzie różnych kondycyj: obok fryzjera, szewca, kominiarza, spotyka się przedstawicieli inteligencji różnych gatunków i rodzajów. Kojarzą się tam również dziwne związki przyjaźni prostaczków z ludźmi kulturalnymi, nacecho-

wane zazwyczaj brakiem gadatliwości. Byłoby ryzykownem twierdzenie, iż rybołówstwo, jako zajęcie ludzi ubogich, fach apostolski, przekazało wędkarzom tradycje pierwszych chrześcijan. Przedewszystkiem rybacy niezawsze byli nędzarzami; bywali śród nich bogacze, szczególnie w dawnej Polsce...

Jednoczy wędkarzy właściwa im prostota zewnętrzna, rozumienie dotkliwych zależności: niewywczasy, żmudne starania, zabiegi i zawody — wspólna dola rybacka.

(C d. n.)



ABLERT MNISZEK

Lisowice

(Dokończenie).

Od r. 1895 do r. 1914 Towarzystwo Lisowickie prowadzi zawsze wzorową i oszczędną gospodarkę w swych rewirach, które jak na knieję głęboką i podgórską, dają coraz to lepsze rezultaty w zwierzynie płowej. Stan sarn przedstawia się okazale a od jeleni wprost się roi. Zaczyna być ich nawet za wiele. Zarządy państwowych okręgów gospodarczych żądają redukcji tej zwierzyny ze względu na szkody przez nią zrządzane. Łań szczególnie jest ponad potrzebę. Ruchliwe te rzesze płoszą dziki z rewirów. Chętnie Lisowczycy odstrzeliwują łanie. Pada ich w 6 latach 56 bez żadnej ujmy dla zwierzostanu, gdy byków w tym czasokresie pada 21.

W r. 1910 po ustąpieniu z prezesury Juljusza Tarnowskiego wybrano prezesem Jana Gorayskiego. Dzierży on tę najwyższą godność w Zakonie do r. 1913, a gdy z niej zrezygnował, wybrano prezesem Towarzystwa dotychczasowego wiceprezesa, a zarazem łowczego, Juljusza Bielskiego, który też do dnia dzisiejszego te dwie buławy w ręku swem dzierży. Wiceprezesem wybrano Tomisława Jędrzejowicza.

Z szczególniejszych wydarzeń myśliwskich z tego czasokresu mamy do zanotowania jedno tylko — dające jednak chlubne świadectwo lisowickiej kniei, a temu co je przeżył, świetlane na zawsze wspomnienie. Tym wybranym szczęśliwcem jest ten właśnie, co dziś pisze — z wdzięczności Lisowicom — ich historję. Przeczytajmy odnośną część protokołu z dnia 15 października 1908.

Miot VII., wzdłuż przerębu Strzelca, na linję Zrębową. Wicełowczy zarządza wstrzymanie się ze strzałem do zająca, aż inne padną, ważniejsze... i padły, owe ważniejsze; zaiste! doświadczenie, znajomość ostępu i przeczucie nie zawiodły. Miot ten ujawnił tak piękne grubego zwierza okazy, że na długo w uczestników pamięci pozostanie: zaledwie gość Mniszek do jelenia zdołał wystrzelić, do którego wnet potem strzelił Münter, już odyniec od strony stanowiska Sekretarza, który doń strzelił, wypada, ku wspomnianemu gościowi: Mniszek nie mając czasu nabić a więc prawie na coup double z jeleniem, strzela do wspaniałego odyńca: dzik ten padł na skrzydłowem stanowisku od dobijających kul strzelca Marmarosza. Jeleń farbujący uchodzi, co wywołuje zdziwienie, oto bowiem Münter opowiada o czerwonej, opodal łopatki, plamie, występującej, jako skutek jego strzału. Na Müntera dalej wyszła łanka o badylu zadnim, już dawniej złamanym i po strzale Müntera padła, następnie powstała, by paść powtórnie i już na dobre, po strzale Czarkowskiego. Łankę zabił Münter. Nadto w nagance opowiadają, że dzik i kilka sztuk jeleniego rodu, przez nią się przebiły; nie na tem jeszcze koniec: rogacza o wyniosłych rogach, zabił Prezes, Weissmann zająca, Gorayski jarząbka, strzelanego przez gościa Rylskiego, Barański zaś pół słonki, gdyż druga jej połowa rozbita, w atomów przeszła dziedzinę; do lisa chybił Czarkowski, Gorayski do słonki a gość Rylski do jarząbka.

Odyńca, strzelanego w dniu 15 b. m. zabił gość Mniszek, co stwierdziła komisja, złożona z Prezesa Tarnowskiego i Wicełowczego Bielskiego, wobec tego, że dzik wspomniany dostał pierwszą dobrą kulę, od gościa Mniszka. Uwagi godnem jest, że ten odyniec jest jednym z największych, w dzisiejszych czasach spotykanych, a nawet starsi Lisowczycy dawno nie pamiętają tu dzika, któryby się rozmiarami równał z odyńcem właśnie zabitym.

Jelenia strzelanego przez Mniszka i Müntera, znaleziono nazajutrz z komorową kulą Müntera.

W VII. sześcioleciu, od 1907 do 1913, ubito: dzików 105, jeleni byków 31, łań 50, cieląt 6, rogaczy 239, kóz 5, lisów 196, zajęcy 279, kun 2, cietrzewi 1, jarząbków 69, słonek 230, innych 45, razem 1258 sztuk.

Rok 1914 otwiera nową epokę dziejów ludzkości. — Wybucha światowa wojna. W gruzy wali się świat i wszelki ludzki dobytek, praca wielu pokoleń idzie na marne. Wojna zmiata leśniczówkę lisowicką wraz z nagromadzonemi w niej od 42 lat trofeami myśliwskiemi. Zaciekłe walki toczą się na całem podgórzu i we wnętrzu Karpat. W jesieni r. 1914, Lisowczycy już nie polują, taksamo w latach 1915 i 1916, dopiero na 24 stycznia 1917 r., zwołuje prezes-łowczy Bielski towarzyszy na łowy.

Nie wszyscy się na to wezwanie stawiają. Nie stawia się Stanisław Stadnicki. Ostatni z założycieli Towarzystwa, wielki myśliwy, dusza Lisowic, przez 23 lat dzierżący buławę łowczego, odszedł w zaświaty w r. 1915 w Wiedniu. — Organizujące się do samoistnego życia politycznego w wskrzeszonej Ojczyźnie społeczeństwo polskie, straciło w Nim znakomitego obywatela, Lisowczycy najmilszego i nieodżałowanego towarzysza.

I cóż zastają Lisowczycy w swych kniejach na tych pierwszych „wojennych“ łowach? Pustki. Zwierzyna wyniszczona, zdziesiątkowana — kłusownictwo w rozkwicie. — Albo zrzec się Lisowic, albo zaczynać pracę na nowo! Lisowczycy wybrali to drugie. Zakasali rękawy, wzięli się do pracy i powoli — z roku na rok, znów zwierzyny przybywa. — Niektórzy, zniechęceni pustką w kniejach, opuszczają sztandar lisowicki, ale niezłomny wódz ich, Juljusz Bielski, nie wypuszcza buławy z swej twardej dłoni i jemu tylko zawdzięczać należy, że Towarzystwo przetrwało najcięższe chwile i dziś znowu kwitnąć zaczyna.

W dniu 19 października 1919, wielkie święto u Lisowczyków w Bolechowie. Antoni Kaz. Wodzicki, święci swój 25-letni jubileusz sekretarski. Towarzysze ofiarowują mu w darze symboliczne złote pióro. W jesieni r. 1926, z żalem przyjmują Towarzysze Jego rezygnację,

rozumiejąc, że po tylu latach pracy należy się Mu już odpoczynek i powołują na Jego miejsce Juljusza hr. Dunin Borkowskiego.

Antoni Kaz. Wodzicki umiera 12 stycznia 1931 r., podczas polowania w Łuczanowicach, okrywając głęboką żałobą zakon Lisowicki. — Po ustąpieniu J. Borkowskiego, wybrano sekretarzem Romana hr. Bielskiego.

Rok 1921 jest złotym rokiem Lisowic, jest rokiem Złotych Godów Towarzystwa.

Obchodzono ten rzadki, może w dziejach łowiectwa jedyny jubileusz, w dniu 27 stycznia na nowem gospodarstwie Towarzyszy w Bolechowie.

A tak się przedstawia w cyfrach 50-lecie pracy Lisowczyków na niwie myśliwskiej:

Od r. 1871 do r. 1921, ubito: niedźwiedzi 10, rysiów 11, żbików 12, wilków 14, dzików 818, jeleni 50, łań 80, rogaczy 1755, kóz 52, lisów 1542, zajęcy 2524, kun 42, wyder 6, norek 4, borsuków 5, tchórzów 5, orłów 2, puhaczy 14, cietrzewi 47, jarząbków 926, słonek 1644, kuropatw 2, traczy 2, kaczek 2, czapel 1, kszyków 1, mew 1, gołębi 1, kruków 1, sów 271, jastrzębi 82; razem 9927 sztuk.

I znów wreszcie po przerwie lat trzydziestu, wielki dzień zapisał się w kronikach Towarzystwa. W miocie „Zapasieczyny" między stanowiska Józefa Jabłonowskiego i Tomisława Jędrzejowicza, wypada niedźwiedź. Po ich strzałach silnie farbuje. Jabłonowski dobija go wkrótce, urządziwszy pościg. Komisja orzeka, że zwierz padł od kuli Jabłonowskiego.

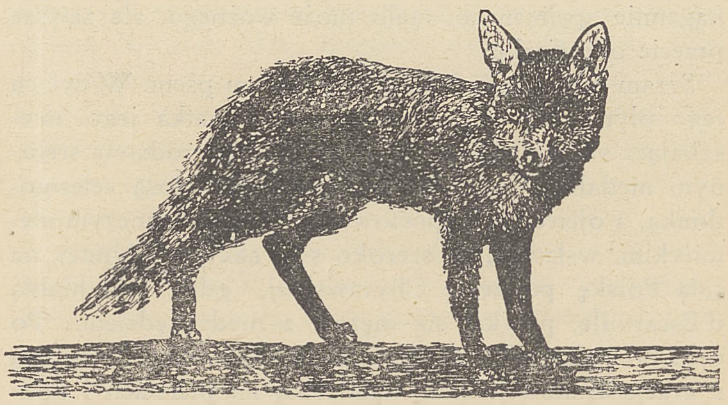
To byłaby krótko i zwięźle podana historja Lisowic po dobę dzisiejszą.

Jak stare drzewo, liście co roku zmieniające, pozostaje sobą, taksamo Lisowice są te same, tylko zmieniają się Lisowczycy. Jedni umierają, bo Św. Hubert powołuje ich na łowy do swych niebieskich rewirów, innym wiek wytrąca broń z ręki, inni znów występują z osobistych racyj. Zwykłe życia koleje. Ale na ich miejsce przychodzą nowi, młodzi, pokolenia po pokoleniach, nowe liście na tym samym starym pniu lisowickiego dęba. — Towarzystwo to samo — ten sam duch, założyciela Kazimierza Wodzickiego, tam rządzi, to samo wielkie ukochanie łowiectwa i kniei, ten sam czysty, nieskalany sztandar Św. Huberta nad Lisowicami powiewa.

Stary „Łowiec" włącza tych kart kilka do swych zeszytów, aby przekazać je potomności, ku chwale łowiectwa polskiego — dla wiecznej pamięci Tych, co nosili i noszą godnie miano myśliwych polskich, którzy w niezłomnej swej woli, wśród najcięższych chwil i katastrof światowych, potrafili utrzymać tę przodującą w Polsce placówkę łowiecką i potrafią ją przekazać nienaruszoną dalszym pokoleniom.

A zaznaczyć wypada, że Lisowice nie są dla „strzelaczy". Ktoby chciał wiele strzelać i zabijać, tam niema po co jechać. Knieja lisowicka uczy cierpliwości, wyrabia w młodym myśliwcu hart ducha i ciała, karność rozumną, potrzebną w każdej organizacji. Kto jest urodzonym myśliwym, gdy w duszy jego tli bodaj iskierka świętego łowieckiego Znicza, ten, raz zapolowawszy w Lisowicach, rozdmucha ją w jasny płomień, oczarowany wspaniałą i tajemniczą knieją, zbudowany wysokim nastrojem towarzyszy. Bo łowy lisowickie, to nietylko rozrywka, to kult odprawiany w wielkiej Bazylice polskiego, najwyższego łowiectwa.

Knieja lisowicka, jak każda wielka pani, kapryśna, umie jednak swych wybrańców nagradzać po królewsku. Nikt nie wie, kiedy znów zaświta dla niego „wielki dzień", wielkie spotkanie — minuta błysku wielkiego szczęścia myśliwskiego — płomiennemi zgłoskami na zawsze już wyryta w jego duszy. Doczekacie się jeszcze „wielkich dni", Lisowczycy! Stary kronikarz łowiecki, co w Waszych gościnnych borach niejednego szczytnego doznawał wrażenia, z serdecznem wzruszeniem kreśli te słowa, bo notatkę świetlanych wspomnień otwierają w jego duszy i kończy swą pracę serdecznem życzeniem: Wasz wielki, 62-letni sztandar zielony niech Św. Hubert błogosławi! Dożyjcie wiekowych godów!



TADEUSZ ŁADA

Między Myśliwymi

Inżynier Marjan Rybicki, przyszedł do leśniczówki na pogawędkę.

W malutkim, podłużnym pokoiku panował nieznośny upał, chociaż jedyne okno, na roścież było otwarte. Siedział naprzeciw niego, niedbale oparty, przy małym stole, utrzymanym w stylu czysto ciesielskim. Na prawo od niego, przy ścianie, wciśnięty między stół a nieskomplikowane łóżko, na małym stołku, siedział leśniczy i opowiadał Rybickiemu jakąś historję z czasów wojennych. Na stole leżały gazety, książki, kilka ołówków i kredek do drzewa, stała lampa i pudełko na cukier. Na lewo od okna, na ścianie, przymocowana była półka, obładowana papierami, a za nią stały narty i na gwoździu wisiał, przerobiony na sztucer, wojskowy karabin. Rybicki słuchał piąte przez dziesiąte tej opowieści leśniczego, słyszał ją bowiem po raz trzeci i mając dobrą pamięć, chciał chwilami prostować ścieżki swego rozmówcy, lecz w porę się powstrzymywał.

Uwagę jego całkowicie przykuwało okno, a raczej teren, znajdujący się poza niem. Tuż za oknem widać było końce sztachet parkanu, nawprost od okna biegły świeżo zżęte zagony, o 30 jakichś metrów przecięte prostopadle wstęgą szerokiego gościńca, obrzeżonego rowami, nad któremi rosły rozłożyste wierzby. Wzrok Rybickiego biegł stale ku jednej z wierzb, widocznej w prawym rogu okna, pod tą bowiem wierzbą kręcił się ciągle jego ukochany wyżeł „Sezam". Nieskomplikowanemi, choć skutecznemi sposobami skracał on sobie nu-

dy oczekiwania na swego pana, który od 2 godzin, ani rusz nie mógł się nagadać z leśniczym. Teraz stanął właśnie na mostku, przez który przechodziła droga z leśniczówki, wiodąca na gościniec, i pięknym barytonem szczekał miarowo, rozglądając się uważnie po polu za gościńcem i po pnącym się, po spadzistem zboczu ku górze, lesie za rzeką.

W odległym o kilkaset metrów, czarniawym świerkowym lesie, u dołu nieco przerzedzonym i u góry, na grzbiecie, kończącym się na tle bladego od upału nieba, misterną koronką świerkowych i jodłowych czubków, nic się podejrzanego nie działo. W sennej, leniwej ciszy i spokoju, pogrążoną była i gajówka, leżąca nieco w lewo i z okien niewidoczna. Stosownie też do tych okoliczności w głosie Sezama brak było nuty podrażnienia lub gniewu — było tam raczej syte zadowolenie z nienagannie spełnianego, mało może ważnego, ale zawsze przecie obowiązku.

Sezam miał około 3 lat. Był pięknym psem. W żyłach jego płynęła też krew nie bylejaka: matka jego, mieszkająca stale gdzieś w głębi Karpat i nagrodzona srebrnym medalem we Lwowie, była czarnowłosą seter-gonką, a ojciec był importowanym żółtym gończym niemieckim, wsławionym szeroko swą akcją w słynnej, na całą Polskę potrzebie Chyrawskiej, gdzie pod hrabią d'Escarville, potykał się mężnie z niedźwiedziem. Po ojcu odziedziczył maść złocisto kasztanowatą, z wyciętą z gracją frakowej, białą kamizelką na piersiach i podgardlu, z białemi chodaczkami na zwartych, silnych stopach i takąż malutką kitką na końcu ogona. Ogon jego i łapy zdobiły piękne, złociste pióra, często gruntownie unurzane w błocie, teraz wyjątkowo czyste. Oczy miał wielkie, żółte z orzechowemi źrenicami, nos bronzowy; z całej zaś twarzy promieniował wyraz uprzejmości, taktu i energji. Nie był ani opasłym, ani wychudłym, akurat w sam raz, trzymał się stale w kondycji rasowego sportsmena. Teraz właśnie skończywszy obowiązkowe szczekanie, po krótkiem wahaniu skierował się drobnym truchtem, brzegiem rowu, w lewo. Zatrzymał się przy pniu środkowej, grubej wierzby i zaczął go starannie obwąchiwać. Wtedy z pod wierzby, widocznej w lewym rogu okna, doleciało Rybickiego inne szczekanie. — Inne rzeczywiście — niskie, gardłowe, wściekłe i zażarte. Spojrzał tam i zobaczył pod wierzbą, krępego, silnego, kundysa gajowego Hryńka. Sezam zdawał się jednak nie zauważać bliskiego przeciwnika, ani nie słyszeć jego głosu, pochłonięty bez reszty studjami nad historją pnia starożytnej wierzby. Nie reagował też najmniejszym gestem na rzucane mu z bliska przez natarczywego kundla pogróżki i wyzwiska. Doszedłszy snać do pewnych konkretnych wniosków w rozważaniach nad dziejami pnia, postanowił uwiecznić i swoje imię, co wykonał podnosząc ruchem trochę ceremonjalnym prawą tylną nogę i patrząc chłodno i w zamyśleniu w okna leśniczówki. Skończywszy tę czynność i nie spojrzawszy na kundysa, paradowym, nonszalanckim kłusem, wyprężywszy nieco ogon, począł oddalać się z powrotem ku mostkowi. Zjeżył trochę przytem sierść na karku, nie ze strachu lub gniewu, lecz tak dla zaznaczenia nieco ponadnormalnego napięcia poczucia godności osobistej. Dobiegłszy do mostku i okrążając wierzbę, by skręcić na drogę do leśniczówki, rzucił zupełnie przypadkowo okiem za siebie i teraz dostrzegł kundysa, który go obserwował już w milczeniu. Zatrzymał się, począł znów obwąchiwać wierzbę i potem takim samym ceremonjalnym kłusem ruszył wprost na nieznajomego. Dobiegając, stopniowo zwalniał kroku, podniósł wysoko głowę, zlekka usztywnił łapy i, wyprężywszy lodowato ogon, zatrzymał się przed samym jego nosem. Ten stał jak pomnik, obojętnie patrząc przed siebie. Obwąchawszy nos, Sezam zbadał ostrożnie temperaturę ogona, potem — grzeczność za grzeczność — pozwolił uczynić to ze sobą, starając się jednak nie zauważać ruchów przeciwnika. Potem wykonali jeszcze parę bardzo powolnych półokrążeń dookoła siebie, patrząc jednak bądź na leśniczówkę, bądź w las. To ścisłe przestrzeganie, przekazanej od dziadów-pradziadów recepcji, wyszło obu na dobre. Lody zostały przełamane. Pierwszy uczynił to Sezam: wykonał ciepły ruch ogonem, przypadł piersiami do ziemi, wyciągając przed siebie przednie łapy, i spojrzał prosto w oczy Burka. Potem rzucił się na niego i objął go łapami za szyję. Ten się jednak szybko wyrwał i uskoczył w bok; niezrażony tem Sezam, przypuścił ponownie atak i objął go teraz łapami w sposób trochę frywolny i dwuznaczny, na co Burek zareagował, utrzymanem w przyzwoitym tonie, pokazaniem zębów. Sezam zrozumiał wlot dowcip i rzucił się do żartobliwej ucieczki. Burek zaś począł z zapałem go ścigać. Tak rozpoczęli, przed oknami leśniczówki gonić się, dopadać, przewracać, obejmować łapami i chwytać zębami. Trwało to dość długo i harmonja między nimi była zupełna. W końcu, trochę zmęczeni, przystanęli, obaj patrząc na siebie. Pierwszy odezwał się Burek: „Skąd ty jesteś, z Jasieniowa? No ale nogi to masz dobre, mógłbyś niezgorzej dzika gonić w lesie, niema co!"

Sezam zaśmiał się. „E! co tam dzik, ciężka świnia, ja ci zająca potrafię przez 2 kilometry trzymać na 10 metrów przed sobą — — — na śnie — gu!!"

To uraziło trochę Burka, to też rzekł: „Słuchaj, ja jestem dzikarz, z twoim panem nieraz polowałem w zeszłym roku..."

Lecz Sezam przerwał mu zaraz: „Tak wiem o tem, pan wspominał nieraz o tobie. Podobno coś ci się tam nie powiodło z tym odyńcem pod Hryciowym Werchem, niby wyszedł na nagonkę, zamiast na strzelców, czy tak".

To wtrącanie się młodszego i to w tonie tak bezceremonjalnym, w sprawy, w których powszechnie uchodził za autorytet, drasnęło nie na żarty jego ambicję. Toteż, zaznaczając spadek temperatury w ogonie, odezwał się tonem oziębłym i trochę mentorskim:

— Wiesz, pod Hryciowym Werchem sprawa nie była tak prostą, jak ci się to zdaje, wogóle, powiem ci, że dzikarstwo, jest to rzecz bardzo trudna i dla wielu, wielu, pozostaje najzupełniej niezrozumiałą.

Sezam nie wyczuł jednak w jego tonie drwin, a naskutek swawolnych igraszek zapomniawszy o swem urodzeniu i starannem wykształceniu, zawołał rubasznie:

— Ha, ha, ha — — trudna rzecz — — szybko biegać i głośno szczekać, nigdy przy tem nie byłem, ale to, to potrafiłbym, będąc jeszcze szczeniakiem".

Ogon Burka lodowaciał coraz bardziej, nawet łapy mu już zesztywniały, spróbował jednak przekładać.

— Daruj! ale poprostu pleciesz głupstwa. Czy zastanawiałeś się, ilu moich braci poległo w walkach z dzikami, ile odnieśli ran, ilu stało się emerytami w trzecim czy czwartym polu?

Czy nie wiesz, ile odwagi, ostrożności i siły wymaga mój zawód. Biegać i szczekać jak jakaś Afi czy Firi od kanapy i słodzonego mleczka?! Czy nic nie słyszałeś nigdy o sztytowej technice nie mojej (nie jestem samochwałem) lecz moich kolegów. Czy nie znasz przygody mego nieboszczyka ojca? Atakował on raz odyńca najmniej 1000-kilowego; w pewnej chwili olbrzym tak się rozjuszył, że wykonał na ojca straszliwą szarżę, ten uskoczył przytomnie w bok, a oszalały potwór wbił swą szablę tak głęboko w pień stuletniego dęba, że nie mógł jej wydobyć. Za chwilę nadbiegł pan i, razem z ojcem, dobił kolosa zwykłym pilnikiem od paznokci. Co ty na to? I na tem nie koniec! Na tym dębie, na drugi dzień usiadła wrona i pod jej ciężarem dąb, stuletni dąb, runął! Co za niepojętą była moc tego ciosu! A ty mi tu takie rzeczy o szczekaniu i bieganiu bredzisz. Przecie o tem zdarzeniu pisały gazety.

Sezamowi teraz bardzo nie podobał się mentorski ton tego, jak sądził, prowincjała i hreczkosieja, toteż bez wstępów usztywnił łapy, wyprężył oficjalnie ogon i, patrząc już z ukosa w oczy Burka, rzekł z przekąsem:

— No zapewne, dzik dzikiem, dąb — dębem, lecz z gazet pan mój kpi, choć je czytuje; prędko rok temu będzie, gdy poszliśmy z panem na podchód dzikich gęsi (nie wiem czy znasz ten rodzaj zwierzyny). Mój stary po długich ceregielach (on to strasznie lubi), strzelił ze sztucera i jedna gęś została; rzuciłem się niezwłocznie, bez rozkazu, by ją zaaportować i co: pan mię w pierwszych susach odwołał i dostałem taki cios harapem, żem wszystkie gwiazdy zobaczył...

— Dość — wrzasnął Burek, nie panujący już nad sobą. — Wiem co się dalej stało, bohaterze: otrzymałeś brakujący rozkaz i przyniosłeś w triumfie tę gęś, gęś, gęś... Wczoraj widziałem, jak Taks leśniczego niósł, przezemnie zupełnie ogryzioną kość. Czy ten heroizm jest równy twemu, czy większy — powiedz!

Sezam uczuł, że pod wpływem bezczelnych drwin, krew gorącą falą napływa mu do głowy, na sztywnych łapach, wyprężony, z podniesionemi uszami, okrążał teraz przeciwnika, rzucając urywanym głosem: — Słuchaj ty! Mój ojciec był asem extra-klasy dzikarzy, szanuję ten fach, lecz radzę ci, ostrożniej wybieraj żarty.

Lecz przebrała się już Burkowa miarka. Niepomny na nic, trząsł się cały:

— Ha! kasa, rasa, extra-klasa! Paniczyki i hrabicze od przepiórek i zajączków, dopadnie taki zestrzelonego ptaszka, lub zdechłego szaraka i przywlecze go za uszy w triumfie do pana; wziąłbyś się do dzika, ty rudy błaźnie!!!

Nietakty Sezama zrobiły swoje. Naładowana elektrycznością atmosfera parnego południa sierpniowego, udzieliła się obu; nastrój stawał się ciężki, w powietrzu zawisła karczemna awantura. W sposób teraz zupełnie niedwuznaczny, okrążali się obaj na sztywnych łapach; od ich wyprężonych do ostateczności ogonów, wiał chłód niemal, że arktyczny. W pewnym momencie Burek, ciskając, pod bardzo ostrym kątem, błyskawice w oczy Sezama, dostrzegł, że ten zerka gdzieś za szosę ku rzece. Obawiając się, że stamtąd nadciąga z odsieczą pan Sezama, coby gruntownie zmieniło sytuację. Burek zerknął też w tym kierunku.

Pana jednak tam nie było; natomiast, na tle świeżej czarnej podorywki, zobaczył jakąś białą niewielką plamę, nieokreślonego kształtu, równo ciągnącą przy ziemi, tuż nad krawędzią brózdy.

Przez króciutką chwilkę, przyjrzał się jej uważniej, potem rzucił okiem na Sezama. Ten zdążył już odskoczyć w bok kilkanaście kroków i zamienił się cały we wzrok, obserwując plamę. Od strony rzeki i tajemniczej plamy, pociągnął pierwszy wilgotny, przedwieczorny wietrzyk. Tak, język wiatru jest jednoznaczny, to był ohydny, czarno-biały kocur, z sąsiedniej wioski. Obaj, jak na komendę rzucili się ku niemu. Kocur oddawna widział obu, zajętych sobą, wrogów, toteż postanowił nie przerywać, podjętej, wbrew najsurowszym instrukcjom administracji leśnej, wycieczki nad rzekę i do lasu. Teraz zobaczył, że przeciwnicy odłożywszy swój spór, mknęli co sił ku niemu. Niebezpieczeństwo było groźne i zbliżało się gwałtownie. Lecz doświadczony kocur nie stracił głowy i nie rzucił się do bezładnej ucieczki; przeciwnie, ciągnął początkowo w obranym kierunku, a gdy napastnicy ubiegli już połowę swej drogi, nagle przycupnął w bruździe. Podciągnął pod siebie wszystkie 4 łapy, mocno zaparł je w dno brózdy, zniżył głowę, rozpłaszczył uszy i wysunąwszy tylko oczy, ponad krawędź skiby zimnym, złym wzrokiem, obserwował atak. Teraz świat cały roztopił się dla niego w jakąś szarą, bez żadnego znaczenia, mgiełkę. Wyraźnie widział tylko dwa rosnące w oczach straszne pyski i pomiędzy i poza niemi, zbawczą wierzbę nad przydrożnym rowem. Psy zbliżały się szybko, po ramionach bardzo ostrego kąta, w wierzchołku którego znajdował się on sam. W muskularnem jego i nieomylnie unerwionem ciele, szybko dojrzewała decyzja taktyczna. Gdy, za znikomy ułamek sekundy, cztery pary kłów miało zatopić się w jego grzbiecie, jednym sprężystym, precyzyjnym susem, rzucił się wprost ku psom po dwusiecznej kąta prostego. Skutek był nadzwyczajny. Sezam z całego rozmachu wyrznął łbem w łopatkę Burka, wywinął w powietrzu bajecznego kozła i klapnął miękko na oraninę. Burek, przyciśnięty do ziemi ciosem, przez chwilę znieruchomiał, lecz potem zaraz, ze wściekłem ujadaniem, rzucił się za zbiegiem. Sezam podążył za nim. Lecz było za późno.

Kocur dopadł już starożytnej wierzby i za chwilę siedział wygodnie wśród jej mietlistych gałęzi, obojętnie obserwując bezsilną pasję przeciwników.

Burek i Sezam zapomnieli teraz ostatecznie o dzielących ich różnicach poglądów; potrącając się ustawicznie i zderzając, biegali gorączkowo pod wierzbą, ujadali, wciąż patrząc w górę i darli pazurami chropowatą korę, niszcząc w zapamiętaniu, Bóg wie może jakie autografy i pamiątki. Na nieszczęście dla przemyślnego kocura, zwabiony hałasem, wyszedł z gajówki 15-letni syn gajowego Hryńka, mający z nim, nigdy nie przedawnione porachunki o gołębie. Chcąc dokuczyć rabusiowi, podniósł grudkę ziemi, i cisnął nią w kota. Pocisk chybił,

lecz sytuacja stała się znów poważna. Kocur absolutnie nie mógł przyjąć walki z nieprzyjacielem połączonym i to w położeniu, aż tak dla siebie niekorzystnem. To też postanowił wrogów rozdzielić. Nagłym rzutem skoczył z gałęzi i spadłszy wspaniałym łukiem na ziemię, w błyskawicznych susach pomknął wprost na mostek. Psy rzuciły się za nim. Odległość między kotem, a niemi szybko malała, lecz jeszcze prędzej kurczyła się droga między kotem a stromą ścianą góry, tuż za mostkiem, porosłą gąszczem bujnych krzewów, przetkniętych młodemi świerkami. Dopadł pierwszego krzaka, nagłym rzutem skręcił w lewo, potem w prawo, znów w lewo i takiemi zygzakami pomknął szybko pod górę. Tu psy nie mogły go już gonić na oko i poczęły, oszczekując, tropić. Lecz on już mocno trzymał inicjatywę w swej łapie; wybrawszy gęstego gałęzistego świerka, wdrapał się na niego i cicho przywarował w ciemno-zielonym, kłującym gąszczu.

Psy prędko potraciły trop a potem i głowy; bezradnie i hałaśliwie uganiały po gęstych krzakach, spinały się na drzewa, próbowały to lub owo, na chybił trafił oszczekiwać. Kocur zniknął.

Po półgodzinnej męczącej bieganinie, kombatanci, różnemi drogami, lecz jednocześnie, zeszli się znów przy mostku. Wywieszone ozory i szeroko otwarte paszcze świadczyły o jednakiej myśli, która ich opanowała. Bez słowa podążyli ku kałuży w rowie koło mostku i, z rozkoszą rzucili się przeciw siebie w mulistą chłodną kąpiel. W milczeniu, ciężko dysząc, chłodzili teraz starannie rozpalone brzuchy i łapy, ze smakiem popijając brudną wodę. Pierwszy przerwał milczenie Sezam.

— No udało się draniowi, niema co, wyrżnąłem go łbem z całej siły, lecz i to nie pomogło; ale że ty Burku pozwalasz mu tak bezczelnie włóczyć się po twoim własnym rewirze?! Żebyś ty zrobił, jak ci mówiłem ogonem i obciął mu drogę w prawo popod szkarpę, byłby nasz, no ale ty wtedy byłeś na przedzie i nic zauważyć nie mogłeś. Trudno!

— Ech Sezamku! — żywo odrzekł Burek, klapnąwszy przednią łapą po wodzie — nie znasz go, to jakiś koci marszałek. Już z 15 razy go goniłem i zawsze mi umknął, tu wierzba, tam płot i co mu zrobisz; w najcięższej sytuacji znajdzie ci, na poczekaniu, dziesięć forteli.

— Tak — rzekł Sezam, pijąc z rozkoszą na cały pysk, błotnisty żurek — z kotami to ciężka sprawa, w takim jak tu terenie. Wiesz, przed dwoma laty objęliśmy z moim starym łowisko tam za Jasieniowem; równina zupełna, drzew bardzo mało, czasem tylko krzaki. Na tym terenie, który kosztował nas dość słono, pożytecznej zwierzyny nie było, powiadam ci, na lekarstwo, a zato wron, kotów — krocie. Wronami zajmował się stary, a koty były w moim referacie; nie uwierzysz, a ja boję się skłamać, ale w pierwszym roku utłukliśmy, bo ja wiem, wagon kotów! Powiadam ci, były dnie, że szczęki wprost odmawiały mi posłuszeństwa od ciągłego aportowania tych łajdaków. W naszych polskich łowiskach, czego jak czego, ale tego draństwa, wszędzie jest dość.

Burek słuchał ze zgrozą i podziwem, wkońcu zapytał: — No powiedz mi proszę, a czy skutek tej pracy jest, czy stan dzików się poprawił?

— Dzików jak dzików, ale stan kuropatw jest ładny. Niema co; wczoraj byliśmy na kontroli rozmnoży, naturalnie bez strzelby, musiałem nieraz wystawiać jednocześnie aż 4 bliskie stadka i podnosić naraz wszystkie 4 łapy w stójce. — A ty Burku, umiesz wystawiać kury?

Burek z pewnych względów nie miał ochoty dalej rozwijać tego tematu, udając więc zamyślenie, odezwał się: — Wagon kotów, no powiedzmy pół, to przecież giełda futer musiała na to zareagować!

— Ba! — rzucił z dumą Sezam — w tym czasie ceny skunksów spadły o 30%, a wiele firm zbankrutowało. — Tu pozyskawszy już pewną przewagę nad towarzyszem, ciągnął dalej. — Co tam Burku koty, szczeniakiem byłem jeszcze, jak słuchałem, co mój ojciec opowiadał mojej matce o swoim hrabi; gdzie ten człowiek nie polował: Paryż, Biaritz, Deauwille, Monte-Carlo. Od tej chwili, jedynem mojem marzeniem było zapolować choć raz na nosorożca.

Tu Sezam znów zaczął chłeptać wodę, lecz Burek milczał, nie chcąc zdradzić się nieznajomością techniki nosorożcowych polowań. Obawiając się, by Sezam znów nie wpadł na tematy drażliwe, począł: — Wiesz co Sezamciu, przyjdź jutro do mnie, a weźmiemy się inaczej do tego pstrego łajdaka na krzywe kołki, krzywe dziurki — podzielimy się, i zrobimy zasadzkę, chcesz?

— Nie Bur, jutro nie mogę, jutro idę ze starym do panny Wandzi; powiadam ci Bur, wspaniała kobieta! Zeszły raz (byłem tam z panem), siedziałem w pokoju jadalnym, starzy byli w ogrodzie, a pan z Wandzią siedział w salonie na kanapie i milczał, tylko czasem cichutko cmokał na mnie. Ja udawałem, że śpię w jadalnym i nie słyszę; tymczasem ostrożnie wspiąłem się na kredens i zjadłem cztery kotlety. Powiadam ci, pycha. Ta kucharka Wandzi dawniej musiała sługiwać po wielkich domach, kto wie, może znała mego ojca z domu hrabiego d'Escarville.

Burek oblizał się obleśnie. — Bodaj to mieć stosunki w świecie! No a w salonie, to chyba było znacznie więcej kotletów, skoro pan z tą Wandzią stale tam wysiadują, czy nic nie można było zrobić?

Sezam rozgłośnie kłapnął zębami na natrętną muchę, potarł szybko nos łapą, i westchnąwszy, rzekł. — Wiesz Bur, mój stary jest morowy — strzela dobrze, na polowaniu się rozumie, ale, między nami mówiąc — dziwak. Potrafi ci godzinami siedzieć z Wandzią i cicho cmokać w tym saloniku, gdzie mysz z głoduby zdechła; no ale trudno, pan jest panem.

Słońce tymczasem skryło się za grzbietem gór, niebo nad doliną nabrało znów barwy głębokiego, świeżego błękitu, a od rzeki i lasu pociągnął rzeźki, krzepiący, żywiczny chłodek. Na progu leśniczówki ukazał się Rybicki, w sportowej koszuli i ze strzelbą na ramieniu; rozejrzał się dokoła, gwizdnął przeciągle i ruszył w kierunku gościńca.

Sezam zerwał się szybko z kałuży, otrząsnął się i pryskając wodą, rzucił: — No, pa, Bur! zobaczymy się jeszcze — i podbiegł do Rybickiego, dając mu radośnie jakieś znaki. Lecz Rybicki odtrącił go lekko nogą. — Precz kundlu, znowu wyszargałeś się, jak świnia! — Potem skryli się za zakrętem drogi.

Czas jeszcze jakiś, leżał Burek nieruchomo w kałuży,

zapatrzony w dal i pochłonięty wizją cudownej Wandzi i całego szerokiego świata. Potem, otrząsnąwszy się metodycznie i dokładnie, wylazł wolno na szkarpę rowu.

Zielono-czarna koronka lesistego grzbietu, ostro teraz odcinała się na tle różowem; wyżej przez nią prześwitywał słabo, głęboki błękit. W miejscu, gdzie, łamiąc linję koronki, wystrzelała w górę specjalnie wysoka grupa jaśniejszych i żółto-zielonych modrzewi, wypływał pełny, opalony księżyc. Nad kominem gajówki, unosiła się strzelista, prześwietlona smużka sinawego dymu; oznaczało to: kolacja.

Burek skierował się ku gajówce. Zatrzymał się pod historyczną wierzbą i, nie bez trudu, odczytując skomplikowany podpis Sezama, pomyślał: — Życie jest piękne. — Potem kładąc w zamyśleniu swój, dodał: — szczególnie, gdy się ma dobrego towarzysza.



ARTUR GRETSCHEL

Zasiadka przy ścierwie

Mroźny dzień zimowy miał się ku zachodowi.

Słońce zapadało szybko za ciemną zieleń stukilkudziesięcioletnich jodeł — zabarwiając ognistą czerwienią, fantastycznie porwane strzępy skłębionych na zachodnim nieboskłonie, chmur.

Zesunąwszy się ze sanek na drodze leśnej — szybko podążałem w głąb mieszanego młodnika, w którym na brzegu niedużej halawy stała mała budka, prymitywnie sklecona z nieokorowanych krąglaków biało-olszowych.

Ulokowawszy się o ile możności wygodnie, oparłem zajęczym nabitą szesnastkę o ścianę budki — obok położyłem naregulowaną do oka lornetkę — spodziewałem się bowiem o pierwszym zmroku zobaczyć na białem tle śniegu zjawiającego się cicho i niespodziewanie — jak duch — lisa.

Malutkie okienko, czy raczej prostokątny, nieduży otwór do strzału — wyglądało wprost na odartego ze skóry konia, który po ciężkim, pracowitym żywocie — chudem swem ciałem, miał służyć na karmę dzikom i lisom.

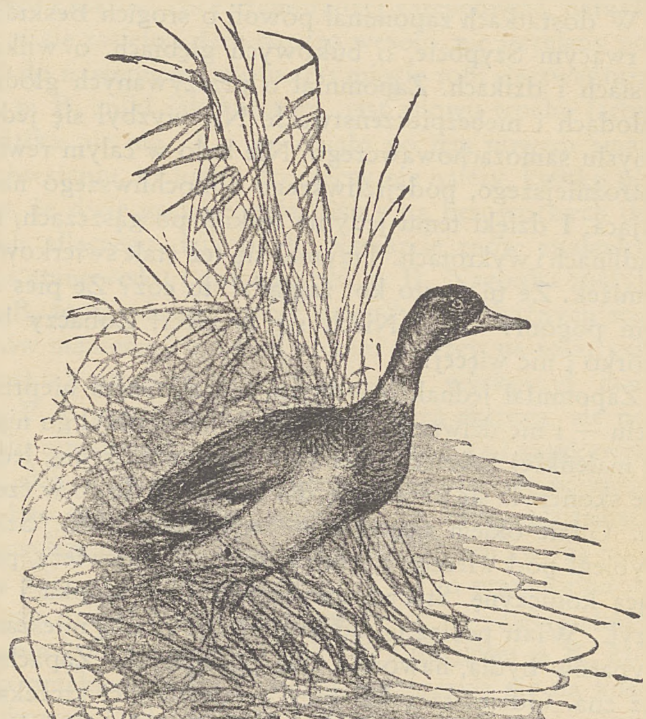
Ciszę, jaka panowała dookoła, przerywał tylko od czasu do czasu, mimo dotkliwego mrozu, wesoły szczebiot sikory bogatki, która uwijając się na trupie zastrzelonego konia, wybierała starannie, najtłustsze kąski mięsa.

Po kilku minutach żerowania, sikorka znikła w najbliższym krzaku łozy, a uszu mych doszedł lekki szum skrzydeł zapadającego na ścierwo ptaka. — Ostrożnie przechylając głowę, objąłem wzrokiem całego konia.

Frontem ku mnie zwrócona siedziała na całym jeszcze boku konia — stara samica gołębiarza, bacznie wsłuchując się i wpatrując dookoła. — Ponieważ nic szczególnego nie zwróciło jej uwagi, a żadnego ruchu, ni szmeru nie było w pobliżu, zatopiła krzywy dziób w ciele końskiem i rwąc kawałki mięsa, chciwie pożerała tę smaczną wieczerzę. — Bardzo ostrożnie podniosłem szkła i około 10 minut śledziłem każdy ruch jastrzębia. — Chwilami przerywał ucztę, wytężał słuch i pomarańczowem okiem wodził bacznie dookoła — uspokoiwszy się, zagłębiał dziób w martwem mięsie końskiem, które przeważnie z trudem odrywał — oparłszy się silnie na wysokich odnóżach.

Dzień gasł coraz bardziej, gołębiarz nałykał się już do syta mięsa — zachodziła przeto obawa, że lada chwila odpłynie, tem bardziej, że w spokojnej kniei mógł się niebawem pojawić mykita zdążający do ścierwa.

Ostrożnie podjąłem dubeltówkę i powoli umieszczałem ją w otworze okiennym — a kiedy koniec luf spoczął na podstawie otworu, nie zdołałem uniknąć bardzo lekkiego szelestu. To wystarczyło zupełnie — by jastrząb przerwał ucztę i badawczo skierował bystry wzrok ku otworowi budki. Zamarłem w bezruchu. — Po chwili gołębiarz szarpał ponownie martwego konia — a moje oko szukało muszki na lufie. „Teraz albo nigdy”, pomyślałem i wraz z hukiem wystrzału — drapieżnik spłynął martwy po boku konia.



JAROSŁAW HUBALEK

„SZAREK"

autoryzowany przekład z czeskiego Władysława Karnkowskiego

(Dokończenie)

VI.

Na czwarty dzień był już nasz Szarek na miejscu. Wywieziono go do rewiru, otwarto w polu skrzynkę i trzech brodatych leśników miało sposobność zobaczyć ogromnego, jednouchego Szarka, jak potężnym skokiem wypadł z ciasnego więzienia i rwał, co sił do pobliskiej remizy.

„Pilnujcie mi go, jak oka w głowie", polecił gajowym leśny. „Zobaczymy, jak się u nas będzie powodzić temu góralowi".

I wiodło mu się istotnie dobrze. O takiej obfitości paszy nie miał nawet pojęcia. Gdzie spojrzeć, wszędy jej pełno, wszędy przysmaki. Skromny, niewybredny góral, poprostu przejadał się. Co dziwnego, że utył, zmężniał jeszcze, tak, że wyglądał na króla swej szarej współbraci? — Klęska powodzi, jak się okazało, nie wyniszczyła kompletnie zwierzostanu. Trochę się ocaliło, trochę przeszło z rewirów sąsiednich, w rezultacie Szarek miał wrażenie, że zajęcy jest tu dziesięć razy tyle, co w Karpatach. Korzystał z tego pełną miarą. U płci pięknej budził zachwyt mężną postawą i odwagą. Takiemu nie sposób się oprzeć. W rywalach wzbudzał respekt, nizinne cherlaki ustępowały mu z drogi bez walki. Szarek zjawił się tu, jak królewicz z bajki, zbrojny w doświadczenie leśnej mądrości, o jakiej nie marzył nawet żaden z tutejszych „poluchów".

W dostatkach zapominał powoli o srogich Beskidach, o rwącym Szypocie, o bukowych głębiach, o wilkach, rysiach i dzikach. Zapomniał o przeżywanych głodach, chłodach i niebezpieczeństwach. Nie wyzbył się jednak zmysłu samozachowawczego. Nie było w całym rewirze, ostrożniejszego, podejrzliwszego i płochliwszego nadeń zająca. I dzięki temu jedynie tęsknił po gąszczach, rozpadlinach i wykrotach. Trzymał się też stale świerkowych remizek. Że tu często kot zaglądał, to cóż? Że pies czasem pogoni? Owa! Niech się przeleci! Zobaczy białe piórko i nic więcej!

Zapomniał jednak o jednym, niepozornym nieprzyjacielu — i nic dziwnego — w lasach nie spotkał go nigdy. O maleńkiej łasiczce. Pierwsza znajomość z nią, ledwie nie skończyła się katastrofą dla Szarka. Było to w czerwcu. Gdzie okiem sięgniesz — łany i łany zbóż. Szarek wybiegł pod wieczór z remizy, śpiesząc na świeżą, pachnącą koniczynę. Starym zwyczajem siadł słupka i wietrzył. Wiatr pociągnął od wsi, niosąc z sobą mieszaninę wyparów bydła, nawozu i tym podobnych. Zapachy te już zna. Gdzieś szczekał pies — ale to nic! szczeka na tem samem miejscu. Cienie się wydłużają, z wieżyczki kościelnej słychać dzwonek modlitewny...

Nagle niedaleko za nim, poruszyło się źdźbło pszeniczne. Nim się obejrzał, świsnęło coś, jak strzała i maleńkie jakieś stworzonko, o silnej woni piżmowej, zagryzło mu się w kark ostremi ząbkami, jak igły. Wrzasnął przeraźliwie z bólu i rzucił się z powrotem do remizy. To było całe jego szczęście — w polu nigdy nie byłby się pozbył natręta. Biegał, jak szalony po największym gąszczu, po nieprzeniknionych splotach pnących roślin... i to go ocaliło.

A teraz cośkolwiek z botaniki: Ułamiesz — miły czytelniku — suchą gałąź z drzewa, ugnie reszta suchego badyla tak, jak i gałąź odłamana. Inaczej zupełnie, gdy ułamiesz żywą gałąź, świerkową. Drzewo momentalnie wydziela żywicę, zalewa ranę, zarodki gnilne nie dostają się do tkanek roślinnych i gałąź twardnieje, kamienieje aż do samego pnia. Wie o tem każdy stolarz i nie kupi deski świerczyny ogrodowej stale podciosywanej. Deski będzie miał wprawdzie ładne i równe, ale na kamiennych sękach poszczerbi sobie każde dłutko i każdy hebel. — I los chciał, że z jednego świerczka w rewirze sterczał taki ostry grot na piędź długi. Przypadkiem, czy z woli Opatrzności, gnał Szarek tuż obok tego świerku. Szarka ominął grot — lecz wjechał między żebra łasicy. Struga własnej krwi rzuciła się mordką, oczka mgłą zaszły i puściła zdobycz. Wieczorem znaleźli ją grabarze i urządzili bezpłatny pogrzeb. Szarek też miał dosyć. Niespożytym siłom żywotnym i dobrej kondycji, zawdzięcza wyleczenie się z ciężkiej rany. Od tej chwili stał się jeszcze ostrożniejszym.

Tego roku miał już święty spokój. Z powodu braku zwierzyny — polowań nie odbywano i tylko czasem pies głupi, postraszył go nieco.

Przezimował bardzo dobrze. Śniegu prawie nie było, a upadłszy — leżał zaledwie parę dni. Oziminy wszędzie gęste, jak kożuch, a jakie smaczne!...

W początkach stycznia znów zabiło zajęcze serduszko... i biło tak z wielkiem powodzeniem prawie do sierpnia. Ród jego mnożył się licznie i sięgał już w kilka pokoleń. Z nastaniem żniw, w stosunkowo małym rewirze nie było spokoju. Od samego rana na wszystkie strony pełno trajkotania żniwiarek. Wyskoczył tedy z kotlinki i puścił się w kierunku, skąd mu wiatr podawał lubą woń sosnowego lasu. Po godzinie znalazł się w rzadkiej tyczkowinie. Zgorszył się widokiem takiego lasu. Gdzie się ruszyć — same ulice, dukty, proste linje, znaki... Mignął piórkiem i biegł dalej. W wysokim boru było trochę lepiej. Drzewa stały rzadko, ale przynajmniej nie w tych obrzydliwych rzędach...

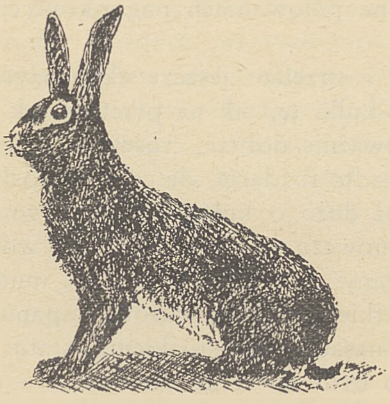
I żyje tu Szarek do dziś dnia. Znają go wszyscy myśliwi i wszystkie psy w całej okolicy. Pomknie zając na trzysta kroków przy najcichszem nawet obstawianiu miotu, weźcie lornetę, a przekonacie się, że to Szarek jednouchy.

Miejscowe kółko myśliwskie urządza polowanie. — Daleko jeszcze do zamknięcia kotła, a już kilka kotów wynosi się luką. Patrzcie! prowadzi ich olbrzymi zając o jednem uchu. Na dwieście kroków poza zdradzieckiem kołem siada słupka i rozgląda się — potem lekkim podskokiem rusza pod same zabudowania wiejskie. Towarzysze sypią w drugą stronę — ku granicy Sokołówki. Niebaczni! Nie przeczuwają, że pod każdym krzakiem granicznym siedzi uprzejmy sąsiad z bronią w ręku. — Szarek nie głupi — zna już dobrze sąsiedzką etykę myśliwską; woli być oczywiście poza kotłem — ale nie oddala się od niego zbytnio — trwa na terenie świeżo opolowanym.

Zaczynają krążyć o Szarku legendy. Śrut się go ponoś nie ima, chytrością przechodzi wszystkich myśliwych okolicznych.

Niedawno miałem o nim wiadomość. Trzeci rok już spędza nad Łabą i żyje na przekór nieprzyjaciołom i szkodnikom. Bądź jeszcze zdrów mnogie lata — Szarusiu! Wspomnij czasem o biednych krewniakach karpackich, którym los dał w udziale nieustanny strach i walkę o życie.

Koniec.



JAN DROHOJOWSKI

Kula higjeniczna

Dwóch wybitnych myśliwych i znawców broni, z którymi miałem zaszczyt niejeden dzień spędzić w kniei, narzekają na kule ekspansywne, które już od jednego wypadku, który zaraz opowiem, przezwałem higjenicznemi.

Było to w czasach zamierzchłych, w czasach — jak dziś piszą — bezprawia, panowania batoga; jednak ludzie jakoś żyli, mam nawet wrażenie, że lepiej niż dziś. Otóż w tych batogowych czasach, w styczniu 1912 r., odbyło się polowanie w Litynie na Wołyniu; był na tem polowaniu starszy myśliwy rosyjski, p. B., który na Kaukazie i w Turkiestanie cudów dokazywał, — przynajmniej tak opowiadał — zwłaszcza po kilku butelkach madery, gdyż ten trunek cenił ponad inne. Dla p. B. byłem z pełnem uszanowaniem, bo tak, jak nie uznawał „oczyszczonej", tak i nienawidził lotek czy loftek (zdaje się, że nawet nieboszczyk Małecki nie wiedział jak to świństwo się pisze), a uznawał tylko kule, strzelał z uczciwego ekspresu kal. 500, ale tylko ekspansywnemi kulami, które na tokarni, jakoś specjalnie preparował.

W pierwszym dniu polowania strzelał p. B. do grubego odyńca, który się po strzale przewrócił, ale po chwili wstał i poszedł, farby było trochę, ale niewiele i dzik „paszoł", jak na Wołyniu mówią po dziś dzień.

Na drugi dzień, zaraz w pierwszym miocie, staliśmy obok siebie. B. był bardzo przygnębiony, bo inni myśliwi, którzy puścili farbę kilkunastu dzikom (żaden nie leżał na rozkładzie) rozmaitemi półkulkami, lotkami łańcuszkowemi, lotkami trzyrzędowemi i innemi najrozmaitszemi rodzajami lotek i hufnali; tłumaczyli długo i szeroko, że wobec „utytlanego" w żywicy dzika jest tak samo bezskuteczna lotka, jak i kula, chodzi tylko o to, żeby puścić farbę, a to zawsze lotkami łatwiej, bo ich jest dużo.

Miałem wtedy sztuciec kal. 9,3 mm, na 3 gr. bezdym. prochu kule, w płaszczach stalowych, ⅓ części kuli wolna od pancerza broń dobra i szczególnie dziki w ogniu kładąca. Broń tę z powodu małego kalibru (jak na Wołyń) z miejsca ośmiano i przezwano „pirdułką", z której chyba wróble strzelać można. Pierwszego dnia dziki mnie unikały, zabiłem wprawdzie dwa zające i lisa, ale i tak nie wierzono, że „zająca" kulą trafić można.

Otóż stoję obok p. B. ogromnie zafrasowanego i widzę, jak na niego gruby dzik na sztych idzie; las był podniosły, starodrzew dębowo-sosnowy, podszyty leszczyną i kępami łozy. Otóż dzik doszedł do takiej kępy łozy, jakie 20 kroków od linji, stanął, pociągnął wiatru, pióra najeżył i zrobiwszy pół obrotu, zaczął w galopie lonżować linję. Na to czekał p. B. już złożony i wygarnął — jak tu mówią — „do boku". Po strzale dzik wywalił się odrazu, po chwili zaczął całkiem regularnie pisać testament.

Pan B. widząc taki efekt swego strzału, zaczął na cały głos wychwalać zalety swego sztućca i wyliczać wszystkie jego przewagi. Nie miałem czasu słuchać jego wywodów, bo przedemną na jakieś 60 kroków, zaczerniało w łozie, i kilkanaście dzików waliło na mnie na kulawy sztych w pełnym galopie. Ponieważ p. B. dalej wychwalał bardzo głośno zalety swego ekspresu, bojąc się, żeby mi dziki z przed nosa nie drapnęły, rozpocząłem ogień, choć stado nie było jeszcze w zupełnie dla mnie dogodnem miejscu, pięć kul szybko opuściło lufę, a cztery czarne cielska zwaliły się w śnieg. Pełen dumy zakładam nowy magazyn i raptem widzę grubego dzika przed sobą na parę kroków; chcę czemprędzej zarepetować, naturalnie coś się zacięło i dzik bardzo wesoło, nie strzelany poszedł do następnego miotu. Po miocie robi się awantura, dzik p. B. znikł jak kamfora, jest znowu trochę farby, ale dzika nie ma. Co się działo po tem nowem zmartwychwstaniu, to już tu do rzeczy nie należy, krótko powiem, że dwie godziny straciliśmy na bezowocnych debatach, dlaczego dzik ożył. Nareszcie znów znalazłem się na stanowisku i znowu obok p. B. Nagonka ruszyła a p. B. topił właśnie swoje zawody w pokaźnych rozmiarów manierce i gulgotał niczem cietrzew na toku, gdy wprost na niego w pełnym galopie, wyskoczył duży dzik. P. B. rzucił manierkę a złapał za ekspres, ale poplątało mu się wszystko: sztuciec, manierka i zarękawek. Dzik skręcił ku mnie, strzeliłem, przewrócił się w ogniu.

Był to ładny odyniec, wagi 184 kg. Przy oględzinach zobaczyłem na środku lewej łopatki całkiem świeżą ranę, zaraz więc zwróciłem uwagę p. B., że to prawdopodobnie jego dzik. I rzeczywiście tak było; po zdjęciu skóry, wyjąłem kulę ekspresową kal. 500 z inicjałem p. B., która po przebiciu skóry i mięśni, spłaszczyła się na kości łopatkowej. Dzik wskutek „shoku" popadł w chwilowe omdlenie, które szybko przeszło, a sama rana zupełnie życiu dzika nie zagrażała i nie żenowała w zupełności jego ruchów, a ponieważ był bardzo tłusty a kula żadnej większej tętnicy, czy żyły nie uszkodziła, to i upływ farby był minimalny; kawałki tłuszczu jak korkiem ranę zatkały i krwotok prędko ustał; na moje stanowisko dzik już przyszedł zupełnie bez farby.

W kilka dni potem polowałem sam w Litynie i zabiłem dużego odyńca 210 kg wagi, który także na łopatce miał świeżą, ale już dobrze zaschniętą ranę od kuli. Przy sekcji znalazłem taksamo na kości spłaszczoną kulę kal. 500 z inicjałem B. Nie było żadnych wątpliwości, że był to postrzałek p. B. z pierwszego dnia. Nadmienię jeszcze, że i ten drugi dzik był zupełnie zdrów i strzelając do niego nie przypuszczałem, że był tak niedawno postrzelony.

Zawsze unikałem kul ekspanzywnych, a z ekspresów strzelałem albo kulami pełnemi z prasowanego ołowiu a później kulami w płaszczach miedzianych ze ziętym końcem i nigdy z dzikami żadnych przykrości nie miałem. Raz tylko w życiu strzelałem z ekspresu ekspanzywną kulą do dzika — a co się stało, opowiem.

W 1914 r. w styczniu, byłem u znajomych w hrubieszowskiem i trafiłem akurat na polowanie; ponieważ byłem bez broni, gospodarz dał mi swój ekspres Nowotnego kal. 450, broń bardzo ładną i pewną, ale kule były ekspanzywne. Cóż było robić, wziąłem piękną broń, klnąc w duchu, że do niej porządnych kul niema, dla ostrożności strzeliłem dwa razy do celu, ekspres kule trzymał znakomicie.

Śniegiem było tylko przypruszone, ale była to knieja tak bogata w dziki, że brak śniegu nie robił właściwie różnicy. W każdym miocie pierwszy strzał był zarezerwowany dla dzików. W trzech pierwszych miotach dziki mnie omijały, wyszedł na mnie w jednym miocie rogacz, strzeliłem, został, w drugim miocie wyszedł lis, strzeliłem, także został, jednem słowem wstrzelałem się. Nareszcie w czwartym miocie, świńskim truchcikiem na kulawy sztych, idzie na mnie średni dzik, tak — w randze wycinka; widząc, że dziczysko jakieś zaspane, puszczam je jak najbliżej, naturalnie już złożony, dzik podchodzi pod samą linję i jakieś 10—12 kroków odemnie staje; las dębowy dość obrzedni, podszyty leszczyną i miejscami kępy gęstych jak konopie grabów, ale dzika mam na dość jasnem miejscu, zdaje mi się, że żadnej większej przeszkody niema, strzelam pod ucho. Dzik zamiast paść, zawraca i zmyka w pełnym galopie; tak zgłupiałem, żem nawet z drugiej lufy nie poprawił. Po miocie idę i patrzę uważnie w kierunku mego strzału; dwie gałązki grubości gęsiego pióra ścięte, a na trzeciej gałązce, grubości średniego ołówka, siedzi kula, owinięta w koło patyka. Tyle o ekspanzywnych kulach ołowianych.

Co do ekspanzywnych kul płaszczykowych, to jest całkiem co innego.

Kulami ekspansywnemi płaszczykowemi zacząłem strzelać w roku 1918, kiedy powróciłem z wielkiej wojny; cała moja zbrojownia przepadła a z czegoś trzeba było strzelać, zwłaszcza, że dzików było dużo. Dałem przerobić dwa wojskowe mannlichery w ten sposób, że skrócono lufy do 60 cm i nałożono szyny. Do dyspozycji miałem tylko wojskową amunicję, o innej nie było mowy, z pełnych więc kul, porobiłem ekspanzywne; ekspanzy miały 2 mm średnicy, 3 mm głębokości. Takiemi kulami zabiłem 96 dzików, z tego kilka bardzo grubych odyńców; przepadł mi postrzelony tylko jeden dzik, ale farbował na obie strony, więc nie ekspanza winna, bo kula przeszła na wylot. Ten jedyny dzik przepadł mi postrzelony z mannlichera, ścigałem go jakieś 15 km i jest mi pamiętny, bo w tym pościgu zginął mi jeden z moich najlepszych psów „Zukier".

Z manlichera kulami ekspanzywnemi zabiłem kilkanaście rogaczy i jakichś specjalnych przykrości z niemi nie miałem. Ale rogacz to jest takie dziwne bydlę, co właściwie żadnej kuli nie lubi; specjalnie jednak na rogacze z manlicherem nie polowałem, bo w tym czasie sarn jeszcze mało było; zające po tych ekspanzywnych kulach chodzą światami; kule te świetnie tną gałęzie, co w strzałach do dzików, jest specjalnie cenne. Jeszcze jedno: kule ekspanzywne manlicherowskie, bardzo łatwo rykoszetują, są więc na polowaniach nagonkowych bardzo niebezpieczne.

Strzelałem i strzelam jeszcze ekspanzywnemi kulami kal. 5,2 mm kulki te, tak na ptactwo jak i na rogacze, działają przeważnie dobrze, czasem cietrzew czy kaczka są trochę zanadto rozdarte, ale celność doskonała.

Zresztą już dużo o kulach ekspanzywnych pisać nie warto, są stanowczo na wymarciu, gdyż wobec pocisków S i ich odmiany „torpedo", wszystkie innego typu kule są już przeżytkiem. A więc wkrótce zapanuje niepodzielnie pocisk z nasadzonym stożkiem, ostatni cud techniki.

Oby tylko było do czego strzelać... — a co do tego, mam wielkie obawy.



Nowe Wydawnictwa

Dr. Edward Lubicz Niezabitowski, Prof. Uniwersytetu Poznańskiego: **Klucz do oznaczania Zwierząt ssących Polski.** Zeszyt I, Klucza do oznaczania zwierząt kręgowych Polski. Wydanie drugie, całkowicie przejrzane i powiększone. Kraków 1933. Nakładem Kółka Przyrodników Uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego, str. 124 z 19 rycinami w tekście.

Pomiędzy myśliwym a zoologiem istnieje ścisła łączność. Można niemal powiedzieć, że prawdziwy myśliwy to praktyczny zoolog w kniei, znający częstokroć niejedną z jej tajemnic lepiej, niż badacz, nie przebywający w terenie, lecz tylko w swojem laboratorjum. Jednak poznanie, choćby tej części świata zwierzęcego, na jaką myśliwy przy wykonywaniu swojego powołania zwraca swoją uwagę, nie jest, jak to wiemy z praktycznego doświadczenia, wcale tak prostem i łatwem, jakby się to laikowi na pierwszy rzut oka zdawać mogło. Dotyczy to zwierząt ssących, jak przedewszystkiem ptactwa, w którem poza specjalistą-ornitologiem, rzadko który stary i doświadczony myśliwy dostatecznie się orjentuje.

Lukę istniejącą w naszem piśmiennictwie przyrodni-

czem w porównaniu do licznych znakomicie ilustrowanych wydawnictw niemieckich wypełniał poniekąd „Klucz do oznaczania zwierząt kręgowych ziem polskich", wydany pod redakcją prof. Dra H. Hoyera przez Kółko Przyrodników U. J. w Krakowie, jeszcze w roku 1909. Od szeregu lat stał się on jednak rzadkością bibljograficzną; również układ jego i treść ze względu na postęp badań fizjograficznych na terenie Polski odrodzonej, pozostawiał dużo do życzenia. Dlatego też z uznaniem należy powitać inicjatywę znakomitego naszego zoologa, a zarazem wieloletniego kuratora Kółka Przyrodników Prof. U. J. Dra H. Hoyera, który przy współudziale młodych przyrodników, obecnych członków zarządu Kółka, zdołał doprowadzić do podjęcia nowego zupełnie przerobionego wydania Klucza z r. 1909. Zaznaczyć należy, że o ile mi wiadomo, wydawnictwo to o ile doszło do skutku, to jedynie skromnemi środkami, jakiemi ta organizacja młodzieży dysponowała, bez jakich kolwiek subwencyj z zewnątrz.

Wydawnictwo ma objąć caołkształt kręgowców, spotykanych na ziemiach Polski, z czego na razie wyszedł zeszyt I, obejmujący zwierzęta ssące, pióra Prof. Dra E. L. Niezabitowskiego.

Klucz obejmuje około 115 gatunków endemicznych ssaków ,nie licząc całego szeregu odmian i podgatunków wyróżnianych przez systematyków, pośród tak zwanych „dobrych" gatunków. Podnieść należy, iż w liczbie tej objęte są nietylko gatunki współcześnie żyjące na ziemiach polskich lub wymarłe w czasach historycznych, lecz także dawno wytępione jeszcze w okresach prehistorycznych, lub żyjące w odległem dyluwium, przez co bieżące wydanie klucza zystało charakter wiernie odzwierciedlający całokształt naszej fauny.

Pozwolę sobie zwrócić uwagę na dane odnoszące się do zwierzyny łownej. — I tak, odnośnie do wilka, wspomina autor o istnieniu oprócz zwyczajnej formy, odmiany melanistycznej (Canis lupus lycaon Erzl.). Z ustępu o gryzoniach dowiadujemy się, że w Polsce występuje, aż 4 odmiany zajęcy. Jeszcze ciekawsze są nowsze dane odnoszące się do systematycznego ujęcia jeleni polskich i sarny. Jeleń zdaniem Prof. Niezabitowskiego występuje u nas w dwóch gatunkach: jelenia europejskiego (Cervus elaphus germanicus Desmarest) oraz jelenia karpackiego (C. maral Ogilby). Pierwszy gatunek rozpadać się ma na 3 formy geograficzne: C. neglectus Matschie, występujący w Polsce środkowej po Górny Śląsk i Pomorze, C. balticus Matschie znajdujący się w okolicach nadbałtyckich i Prusiech Wschodnich, wreszcie C. albicus Matschie, który ma się trafiać pomiędzy Górami Olbrzymiemi a Śląskiem. Niewątpliwie najbardziej interesować będzie naszych myśliwych fakt przynależności naszego jelenia karpackiego do szczepu marala, przez co uzyskuje potwierdzenie zdanie wyrażone swojego czasu w „Łowcu" przez znakomitego znawcę jelenia karpackiego, A l b e r t a M n i s z k a, stwierdzające udział krwi marala w tworzeniu się jelenia karpackiego, tej chluby naszej fauny zwierząt łownych polskich. Brak miejsca nie pozwala na szersze przedstawienie i dyskusję tych poglądów, podobnie jak kwestję istnienia, zdaniem L. Niezabitowskiego, u naszej sarny (Capreolus Gray), aż trzech form geograficznych.

Przytoczyłem nieco dokładniej dane odnośnie do jelenia i z tego powodu, że przebija w autorze klucza obok przyrodnika i myśliwy. Wprawdzie osobiście miałbym co do „ważności" niektórych form geograficznych naszych zwierząt ssących pewne zastrzeżenia, tem bardziej, że opierają się one niejednokrotnie, bądźto na starych danych (np. podział odmian niedźwiedzi na podstawie spostrzeżeń jeszcze K. Pietruskiego z r. 1853), bądźto na stosunkowo szczupłym materjale. Niewątpliwie istnieje tu wdzięczne pole współpracy myśliwych z przyrodnikami celem dostarczenia i udostępnienia przyrodnikom materjału do dalszych badań, przez przekazywanie go jak też swoich spostrzeżeń naszym instytucjom przyrodniczym. Można jak najbardziej polecić nowe wydanie „Klucza" każdemu myśliwemu, posiadającemu choć w drobnej tylko mierze żyłkę przyrodniczą.

Sam układ „Klucza" jest jasny i przejrzysty, umożliwiający nawet laikowi korzystanie z niego. Podnieść wreszcie należy zewnętrzną szatę wydawnictwa, będącą zasługą znanej drukarni W. L. Anczyca w Krakowie.

Doc. Dr. Kazimierz Wodzicki.



Conseil International de la Chasse.

Z sekretarjatu Międzynarodowego Związku Łowieckiego, otrzymaliśmy następujące komunikaty oficjalne z prośbą o umieszczenie ich w naszem piśmie.

E G I P T.

Rząd egipski zażądał za pośrednictwem swego posła w Paryżu aktów debat Stałej Komisji Międzynarodowego Związku Łowieckiego „dla spraw ptactwa łownego i przelotnego".

Wiadomo, że uczyniono kilka przedstawień u rządu egipskiego dla osiągnięcia ochrony przepiórki i unormowania w Egipcie polowania na ptactwo przelotne.

W Ł O C H Y.

Ambasada włoska zawiadomiła Prezydenta Międzynarodowego Związku łowieckiego, że dekretem z dnia 28 lutego 1933, Królewski Minister rolnictwa i lasów, zezwolił na polowanie na koziorożce w rejonie „Gran Paradiso"*) w ciągu czterech ostatnich miesięcy b. r.

*) U stóp Monte Rosa.

Warunki polowania są te same, jak ustalono dekretem z 24 lutego 1932, lecz cena za każdego ubitego kozirożca wynosi 8.000 lirów w miejsce 10.000 lirów. Dla osób upoważnionych do upolowania dwóch sztuk, cena została zredukowaną na 6.000 lirów od sztuki.

Odstrzał ograniczony został do kilku starych samców. Obcokrajowcy dopuszczeni są do polowania narówni z obywatelami włoskimi.

Prośby o zezwolenie należy zwracać jak najrychlej do zastępcy dyplomatycznego państwa, osoby starającej się o odstrzał.

Te doniosłe zarządzenia wydane zostały na skutek starań, jakie Prezydent M. Z. Ł. w czasie swej bytności w Rzymie, świeżo poczynił.

D A N J A.

Członek M. Z. Ł. Pan de Vind Wielki Łowczy J. K. Mości Króla Danji, doniósł, że w wykonaniu rezolucji powziętych na plenarnem posiedzeniu M. Z. Ł. zostały w Danji wprowadzone następujące rygory i ograniczenia:

Ochrona ptactwa przelotnego.

Przepiórka wogóle nie występuje w Danji, a jedynie wyjątkowo jest strzelaną w bardzo nieznacznej liczbie; zresztą polowanie na nią jest zamknięte od 2 listopada do 24 września.

Do roku 1922, polowanie na słonki było zamknięte tylko od 15 maja do 31 lipca; prawem z r. 1922 zamknięto polowanie na nie w czasie między 15 kwietnia a 24 września, a wreszcie prawem z r. 1931, przedłużono jeszcze czas ochronny tak, że trwa obecnie od 8 kwietnia do 24 września.

Wolno polować na dzikie kaczki od 1 sierpnia do 31 grudnia, a na kaczki z gatunków nurkujących do 31 stycznia.

Zabronionem jest polowanie od zachodu do wschodu słońca, za wyjątkiem polowania na ptactwo wodne i przelotne, które wolno strzelać 1½ godziny przed wschodem i 1½ godiny przed zachodem słońca.

Jest wzbronione używanie sieci i potrzasków dla łowienia ptactwa morskiego, a wszelkich narzędzi łowienia lub trucizny, dla zdobywania jakiejkolwiek zwierzyny; Ministerstwo może jednak pod pewnemi warunkami dyspensować od wymienionych ostatnio zakazów.

Jest też zabronionem używanie do polowania strzelb o większym kalibrze niż 12-sty i strzelb śrutowych automatycznych.

Jest w końcu zabronionem w czasie od 31 maja do 1 października polowanie z łodzi motorowych i z innych urządzeń nawodnych, wprawianych w ruch mechanicznie, a przez cały rok w pewnych okolicach morza specjalnie oznaczonych.

Ochrona rzadkich gatunków.

Podług artykułu 18 prawa łowieckiego, może Minister w drodze administracyjnej ograniczyć lub zupełnie zabronić polowania na poszczególne gatunki zwierzyny, np. na rzadko występujące ptactwo. Zakazy takie były już kilkakrotnie stosowane.

Parki i rezerwaty.

W Danji jest już dość znaczna liczba większych lub mniejszych rezerwatów, w których zwierzyna jest zupełnie chroniona, a ustanawia się jeszcze dalsze w miejscach odpowiednich.

J U G O S Ł A W J A.

Członek M. Z. Ł. Pan Zorićic doniósł w przedmiocie ochrony ptactwa przelotnego w Jugosławji.

a) Niszczenie ptactwa morskiego przez wpuszczanie do morza resztek spalinowych ciekłych.

Liczba naszych wielkich okrętów jest stosunkowo małą, a znikomą o napędzie zasilanym ciężką ropą. Nie stwierdzono wypadków niszczenia ptactwa morskiego przez mazut, wobec czego rezolucja M. Z. Ł., dotycząca ochrony ptactwa przed skutkami wpuszczania jego resztek do morza, nie ma tu pola do zastosowania.

b) Ptactwo przelotne. — Ochrona ptactwa łownego przelotnego, przewidzianą została w najnowszem prawie łowieckiem. W myśl art. 17 prawa z 5 grudnia 1931, utrzymane zostały rygory dawniejszych praw w sprawie ochrony ptactwa łownego przelotnego. Na przepiórki nie wolno polować od 16 XII do 1 VIII, na słonki od 15 IV. do 1 VIII, na kaczki wszystkich gatunków, na gęsi i wszelkie ptactwa błotne i wodne od 1 III. do 15 VI.

Ochrona przeto w czasie gnieżdżenia się jest wystarczającą. Polowanie dozwolone jest tylko z bronią palną; siecie i sidła są wzbronione.

STAŁA KOMISJA DLA SPRAW PTACTWA ŁOWNEGO I PRZELOTNEGO.

M. Z. Ł. przejął się mocno sprawą przedstawioną przez hrabiego Hartiga a mianowicie sprawą ochrony dzikich kaczek w środkowej Europie.

Poniżej przytoczone propozycje ochrony zostały oddane Specjalnej Komisji „dla ochrony ptactwa łownego przelotnego" w celu ich przestudjowania.

Projekt (hrabiego Hartiga) uregulowania ochrony dzikich kaczek.

Zmniejszenie się stanu dzikich kaczek w terenach chronionych Europy środkowej, jest faktem nie dającym się zaprzeczyć, a przyczynę tego stanu rzeczy, należy przypisać całemu szeregowi wpływów i przeszkód natury biologicznej, ekonomicznej i socjalnej.

Przyjmując, że nie można liczyć na to by liczba kaczek dzikich w Europie środkowej uzupełniła się kaczkami przelotnemi z wysokiej północy, gdyż te nie zmieniają nigdy dróg swych wędrówek, mieszkańcy Europy środkowej powinni szczędzić kaczki swoich krajów, zwłaszcza, że one są ptactwem raczej wędrownem niż przelotnem. Z tego powodu jest wskazanem wprowadzić lokalną ochronę dzikich kaczek.

Praktyczne rozwiązanie tego dezyderatu powinno wychodzić od Towarzystw myśliwskich, zorganizowanych

i może być osiągnięte tylko przez rozumne reguły ochrony i przez daleko idące ograniczenia dobrowolne; równocześnie jednak powinno ono doznać poparcia przez uregulowanie czasów wolności strzelania, obecnie zbyt długotrwałych.

Przyjmując, że wydatny skutek ochrony nie może być osiągnięty inaczej jak tylko przez wspólny wysiłek Państw Europy, M. Z. Ł. miałby za zadanie przestudjować kwestję ochrony dzikich kaczek, ustalić reguły ich ochrony i postarać się o ich zastosowanie.

Autor niniejszego, powołując się na dyskusję odbytą z profesorem Dykiem*), pozwala sobie przedłożyć dla przedyskutowania następujące propozycje:

1) Należy wdrożyć starania, aby we wszystkich krajach Europy polowanie na kaczki nie rozpoczynało się przed 1 sierpnia, a kończyło się z końcem roku.

2) Począwszy od roku 1935, powinno polowanie na kaczki być zamykanem w jednym roku na pięć lat we wszystkich krajach Europy w ten sposób, by w roku ochrony polowanie na kaczki było dozwolone tylko w miesiącach październiku i listopadzie.

3) Ustawianie pułapek na kaczki jest niepożądanem i nie powinno być dozwolone bez zezwolenia władz administracyjnych. Posiadacze dawniejszych urządzeń dla łapania kaczek, powinni być zobowiązani, by jedną dziesiątą kaczek złapanych pozostawiali przy życiu i zachowywali do hodowli.

NUMERACJA ŚRUTU.

Śrut jest oznaczany numerami stosownie do swej średnicy, ale same numery różniczkują w poszczególnych krajach, a nawet w różnych okolicach tych samych krajów tak dalece, że jest trudno myśliwemu kupującemu ładunki w obcej miejscowości, oznaczyć lokalnemu sprzedawcy, jakich od niego żąda ładunków i skontrolować czy mu zostały dostarczone sorty rzeczywiście żądane.

Międzynarodowy Związek Łowiecki, licząc się z tą niedogodnością, powziął na ostatniej swej sesji rezolucję, aby serje śrutu szły o ile możności w całym świecie według ćwiartek milimetra, a w krajach używających dotąd miar angielskich, według setnych cala.

Apel ten doznał wszędzie przychylnego przyjęcia. — W celu zrealizowania tego systemu we Francji, zebrała się niedawno pod przewodnictwem Pana Maxima Ducrocq, Prezydenta M. Z. Ł. Komisja, w której skład weszli czołowi myśliwi, przedstawiciele Ministerstwa rolnictwa i francuskiego Urzędu dla ujednostajnienia miar, tudzież przedstawiciele głównych wytwórni amunicji we Francji.

Komisja ta, z zadowoleniem stwierdziła, że już obecnie wszyscy francuscy wytwórcy śrutu przyjęli oznaczenia oparte na ćwiartkach milimetra i że główne wytwórnie ładunków umieszczają na opakowaniach obok numerów śrutu, ich średnicę w milimetrach.

Komisja zaleca wszystkim wytwórniom amunicji i rusznikarzom używać w praktyce tego oznaczania, a myśliwym i Towarzystwom myśliwskim domagać się takiego oznaczania, gdyż będzie to praktyczny i łatwy sposób kontrolowania przez nich samych dymenzji śrutu zawartego w ładunkach.

Tłum. A. Sander.

*) Profesor zoologji Uniwersytetu w Pradze.

Sprawozdanie

posiedzenia Wydziału Małopolskiego Tow. Łowieckiego z dnia 26 maja 1933.

Obecni: Wiceprez. W. hr. Gołuchowski, A. Mniszek, A. Sander. Członkowie: M. Chrzanowski, W. Garapich, Z. Gronziewicz, T. Jędrzejowicz, Dr. A. Małaczyński, St. Pieńczykowski, A. Ulm i zast. czł. Dr. St. Gajewski. Nieobecność usprawiedliwili: J. hr. Bielski, H. Prek, Dr. W. Ziembicki i St. Jaśkiewicz.

Wiceprezes A. Sander przedstawił zarys przesłanego przez Związek projektu nowelizacji prawa łowieckiego i odczytał pismo Tow. Łow. Ziem wschodnich, w którem to Towarzystwo zajęło zgodne z nami stanowisko w sprawie nowej organizacji łowiectwa.

W poczet członków przyjęto Józefa Jakubskiego z Dublan.

Sprawozdanie

posiedzenia Wydziału Małopolskiego Tow. Łowieckiego z dnia 8 czerwca 1933.

Obecni Prezes J. hr. Bielski, Wicepr. W. hr. Gołuchowski i A. Sander oraz członkowie: St. Gajewski, Z. Gronziewicz, T. Jędrzejowicz, Dr. A. Małaczyński, Dr. St. Piechowski, A. Ulm, Dr. W. Ziembicki. Nieobecność usprawiedliwili: A. Mniszek, W. Garapich, St. Jaśkiewicz, H. Prek.

Wydział ukonstytuował się, jak następuje: Sprawy prezydjalne załatwiać będą Wiceprezesi A. Mniszek i A. Sander, sekretarjat objął A. Ulm, którego zastępcą wybrano M. Chrzanowskiego, skarbnikiem wybrano St. Pieńczykowskiego, a jego zastępcą inż. Zb. Sandera. — Na posiedzenie Komisji dla nowelizacji prawa łowieckiego wydelegowano Dr. A. Małaczyńskiego, Dr. A. Sandera i M. Chrzanowskiego. Zgodnie ze zdaniem Z. Gronziewicza uchwalono nie krępować delegatów ścisłemi instrukcjami. Winni oni na Komisji nowelizacyjnej, szczególnie w sprawie organizacji łowieckiej zająć takie stanowisko jakie w danych warunkach będą uważali za odpowiednie.

Po złożeniu sprawozdania przez inż. Sroczyńskiego z Wystawy psów, a Dr. A. Sandera z premjowego strzelania, posiedzenie zamknięto.

Ś. p. ADAM hr. ZAMOYSKI

Członek Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego zmarł 8 lipca b. r., w Krakowie, przeżywszy lat 60.

Znowu nieubłagana śmierć skosiła jeden żywot ludzki w pełni sił i zdawało się, żelaznego zdrowia. Tracimy w Nim znakomitego myśliwego, wielkiego zamiłowanego hodowcę zwierzyny, a przedewszystkiem najmilszego towarzysza.

Cześć Jego pamięci, pokój Jego duszy.

A. M.

Ważne dla właścicieli i dzierżawców łowisk

Nakładem Gorlickiego Towarzystwa Myśliwskiego, wydane zostały „Raporty straży łowieckiej".

Raporty te utrzymane są w formie książeczek kieszonkowych (20×11 cm). Książeczka zawiera 200 kartek, co druga do wydzierania. — Raporty uwzględniają jakie gminy, pola i lasy strażnik w dniu raportu obszedł, jaką zwierzynę czworonożną i ptactwo widział, ile zastrzelił podczas obchodu szkodników, ile napotkał kłusowników, sideł, psów i kotów, ile sam strzałów oddał, a ile obcych, w jakim kierunku i w której porze zasłyszał. Ułożone są bardzo celowo.

Książeczki oprawione w tekturę powleczoną ceratą, dają gwarancję możliwej trwałości, a przedstawiają się estetycznie.

Cena 1,60 zł, zatem nader przystępna. — Zamawiać należy w Małopolskiem Towarzystwie Łowieckiem, przysyłając cenę wyżej podaną i 50 gr na koszta opakowania i porta.

Wydawnictwo to tembardziej polecamy, gdyż Gorlickie Towarzystwo Myśliwskie, całkowity czysty dochód ofiarowało Małopolskiemu Towarzystwu Łowieckiemu.



Na daninę myśliwską w dalszym ciągu złożyli: Bogusław Stamirowski zł. 47,50.

Czasy ochronne

obowiązujące na terenie Rzeczypospolitej z wyjątkiem województwa śląskiego

(Czas ochronny oznaczony jest ciemnemi polami)

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Łosie - byki [1])	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
Jelenie - byki, daniele - rogacze [2])	■	■	■	■	■	■	■	■	▌15		■	■
Sarny - kozły [2])	■	■	■	■	▌15						■	■
Zające - szaraki [2])	15▌	■	■	■	■	■	■	■	■	▌20		
Zające - bielaki		15▌	■	■	■	■	■	■	■	■		
Niedźwiedzie [3])	15▌	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	▌15
Rysie [4])	15▌	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	▌15
Borsuki [5])	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■		■
Wiewiórki [6])	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▌	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Cietrzewie - kury w wojew.: Wil., Białost., Nowogr., Polesk., Wol.		■	■	■	■	■	■	▌5	15▌	■	■	■
Jarząbki, pardwy		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty [7])		■	■	■	■	■	■	■	■	■		
Kuropatwy w woj.: Wil., Białostoc., Nowogr., Polesk., Wol., Krak., Lwowsk., Stanisławowsk., Tarnopol. [7])	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Kuropatwy w województwach pozostałych [7])	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki . . . . od przylotu			■	■	■	■	■	■				
Słonki					15▌	■	■	▌15				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory [8])						■	▌15					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌15					
Dropie, dropie - kamionki (strepety), [9])	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
Dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▌	■	■					
Dzikie indyki - samce [10])					15▌	■	■	■	■	▌15		
Dzikie indyki - samice	■	■	■	■	■	■	■	■	■	▌15		
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				

Zabrania się wogóle polować na: żubry, bobry, kozice, świstaki, na samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, na niedźwiedzice od niedźwiedziątek, na głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w Województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem na cietrzewie-kury. Minister Rolnictwa uprawniony jest zezwolić na polowanie na te zwierzęta z wyjątkiem żubra i bobra.

1) Min. Roln. z dnia 20. XII. 1930 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 94, poz. 730.
2) Min. Roln. z dnia 20. X. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 96, poz. 737.
3) Min. Roln. z dnia 11. V. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 51, poz. 423.
4) Min. Roln. z dnia 23. VI. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 60 poz. 487.
5) Min. Roln. z dnia 20. X. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 96, poz. 737.
6) Min. Roln. z dnia 20. XII. 1930 r. Dz. Ust. R. P. Nr 94, poz. 730.
7) Min. Roln. z dnia 20. X. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 96, poz. 737.
8) Min. Roln. z dnia 20. X. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 96, poz. 737.
9) Min. Roln. z dnia 20. XII. 1930 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 94, poz. 730
10) Min. Roln. z dnia 26. VI. 1929 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 50, poz. 416.

Wszystkie terminy ochronne należy rozumieć włącznie

TREŚĆ NUMERU 15—16:

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, I p. schody 5 drzwi Nr. 44 (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie)
Godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małop. Tow. Łow. we wtorki i piątki o godz. 12-tej
Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty
Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18-59.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek — Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego

Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4-32